LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W POSZUKIWANIU SKUTECZNEGO RAD SPOSOBU

Czytaj na str. 4 i 5

Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 48 (1199) ROK XXIII 30 LISTOPADA 1980 R. CENA 3 ZŁ

Z wystawy w Muzeum Sztuki w Łodzi „Gdańsk. Sierpień'80"

Foto: S. Markowski

KTO TU WPUŚCIŁ DZIENNIKARZY ?

Rozmowa z WOJCIECHEM GIEŁŻYŃSKIM

— Był pan w Stoczni Gdańskiej prawie przez cały czas trwania strajku. Co pana skłoniło do wyjazdu z Warszawy?

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI: — Chciałem zobaczyć to, co tam naprawdę się dzieje. To była wystarczająca motywacja: być, zobaczyć. Jest to jedna z nielicznych zasad, której bezwzględnie przestrzegam.

— Jakie jest pańskie credo reporterskie?

W.G.: — Interesują mnie wyłącznie wielkie zdarzenia historyczne, ścieranie się ideologii, konflikty grup społecznych. Nie interesuje mnie człowiek i jego jednostkowe losy.

— Czy brał pan już udział w strajku?

W.G.: — W takim strajku nie brałem nigdy udziału. To było dla mnie coś niesłychanie egzotycznego.

— Pierwsze egzotyczne odkrycie w Polsce po wielu latach milczenia?

W.G.: — Ograniczenia cenzuralne w ostatnich latach były tak duże, że praktycznie nic nie można było napisać. Zająłem się więc problematyką Azji. Przez ostatnie trzy lata na przykład interesowałem się Iranem. Podejrzewają nawet, że jestem agentem Chomeiniego na Polskę, ale od dwóch miesięcy Iran ode mnie odpłynął, przyszedł Gdańsk — w sierpniu najważniejsze miejsce na świecie.

— Jak to się zaczęło?

W.G.: — W poniedziałek, 18 sierpnia, w „Polityce" odbyło się kolegium redakcyjne. Leszek Stefański, który przywiózł z Wybrzeża dzieci i widział, co się tam dzieje, zrefero-

Dalszy ciąg na str. 8

„Polski model gospodarczy nie może być wymyślony odgórnie, wypracowany przy „zielonym biurku". Wyrasta on z wielkiego ruchu socjalistycznej demokracji, który ogarnął kraj, z ruchu decentralizacji zarządzania gospodarką..."

Oskar Lange

WITOLD KASPERKIEWICZ

WARUNKI SKUTECZNOŚCI REFORMY GOSPODARCZEJ

Od lat problemy ekonomiczne nie były tak brzemienne w głęboką treść socjalną, od lat nie miały tak silnego oddźwięku wśród najszerszych mas społeczeństwa polskiego, jak to się dzieje w chwili obecnej. Kolejny przełom polityczny przyczynił się **do powstania ruchu społecznego na rzecz reformy gospodarczej naszego kraju.** Wyzwoliła się przemożna potrzeba dokonania głębokich i postępowych zmian w systemie funkcjonowania gospodarki narodowej. Dotychczasowe poważniejsze próby reformowania życia ekonomicznego podejmowane dwukrotnie w roku 1956 i 1971 zakończyły się fiaskiem. Obecnie stajemy przed następną historyczną szansą uzdrowienia gospodarki, której nie można w żaden sposób stracić, gdyż byłby to niewybaczalny przez społeczeństwo błąd.

Doświadczenie różnych reform i przedsięwzięć w zakresie zmian systemowych gospodarki socjalistycznej pokazuje, że jest to kwestia niezwykle skomplikowana. Zmiany systemowe dotykają bowiem kontrowersyjnych spraw politycznych i ideologicznych. Praktyka potwierdza przekonanie, że znacznie łatwiej jest o decyzje i rzeczywiste zmiany w procesach ekonomicznych niż w sprawach dotyczących stosunków społecznych, czyli ludzi, ich miejsca i roli w procesach społeczno-ekonomicznych, zmiany nawyków myślenia, przyzwyczajeń i metod działania.

Dalszy ciąg na str. 3

WIESŁAW PUSZ

dlaczego musiało wybuchnąć?

Powstanie listopadowe ciągle znajduje się w stanie oskarżenia. Zaatakowane zostało natychmiast po wybuchu przez zwolenników status quo. W trakcie działań wojennych i długi czas po upadku polemikę powodowało różnicowanie się opinii bezpośrednich uczestników oraz świadków zbrojnego czynu. Później spory były konsekwencją odmiennych, aktualnych koncepcji odzyskania niepodległości. W ostatnim czasie powstanie rozliczane jest przede wszystkim ze swych szans — zdaniem jednych historyków nieznacznych lub wręcz nie istniejących, natomiast **w opinii Jerzego Łojka** — nie tylko badacza dziejów, ale i ich „prokuratora" — szans beznadziejnie zaprzepaszczonych.

ŚLEPOTA CZY DETERMINACJA?

Dlaczego owe szanse zostały zmarnowane? Ponieważ od razu, od początku — jak twierdzi Łojek — powstanie *„oparte było w swym założeniu o najzupełniej mylną, opaczną i zgoła nonsensowną interpretację postawy moralno-politycznej wyższych sfer społeczeństwa Królestwa — generalicji, arystokracji, popularnych osobistości spośród członków rządu, sejmu, senatu"*. Rozwijając myśl konstatuje autor: *Patriotyczna gotowość do walki narodowowyzwoleńczej rozpowszechniona była w społeczeństwie szeroko, nie sięgała jednak zbyt wysoko"* Z tym się można zgodzić to ewidentna prawda od dawna poparta wieloma dowodami. Następne zdanie budzi jednak zdecydowany sprzeciw. *„Organizatorzy wybuchu (...) byli nie tylko zupełnie zdezorientowani co do istoty podziałów i rozwarstwień ideowo-politycznych w społeczeństwie polskim w 1830 roku, ale nawet nie zdawali sobie właściwie sprawy z samego faktu jakichkolwiek podziałów tego rodzaju"* (J. Łojek, Szanse powstania listopadowego, wyd. 2, Warszawa 1980 r., s. 7).

Dalszy ciąg na str. 9

W kipiącym garncu wydarzeń kluczowych wiele mniej ważnych spraw poszło na dno, dzięki czemu niektórym ludziom żyje się teraz w Polsce lepiej. Poeta napisał kiedyś, że nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, co automatycznie zamyka nam dzisiaj wszystkim gębę w odniesieniu do takich drobiazgów, jak nie załatana dziura w jezdni, albo brak papieru toaletowego. Mózg przeciętnego obywatela eliminuje obecnie wszelkie paprochy. Przeciętny obywatel rozprawia teraz wyłącznie o sprawach wyższego rzędu: o „Solidarności", eksporcie, procesach sądowych, składzie Biura Politycznego, ostatnich wyborach prezydenckich w USA oraz, ewentualnie, kto powinien zagrać na lewym skrzydle przeciwko Malcie.

Reszta nie ma znaczenia. Lasy płoną! Wolno chlać. Wolno przytopić wroga. Wolno zwymyślać dyrektora. Wolno nie przyjść do pracy, choćby nie było strajku. Wolno cisnąć na pastwę losu to, co oddano nam pod opiekę, byle nie był to, oczywiście, jakiś cenny budulec albo niszczejące na deszczu maszyny przemysłowe za kilka milionów dolarów. Na ustroniu, w owej mniejszej, nie rzucającej się w oczy sferze usługowo-produkcyjnej wolno, w gruncie rzeczy, wszystko.

Wiedząc niby, iż w tych gorących dniach nie przystoi publicznie czepiać się głupstw — że tam nawaliła jakaś pralnia, nie przyjechał pociąg, albo stanęły tramwaje, że parę miesięcy temu rzucono na ulicę w moim osiedlu (Karolew) kilkadziesiąt żółtych, plastikowych rur, potrzebnych do uzbrojenia sieci telefonicznej i do dziś część tych rur leży w błocie, a część skradziono (co samo w sobie nie ma dla odnowy żadnego znaczenia); wiedząc o tym wszystkim, pozwolę sobie jednakże pozostać przy problemach spoza głównego nurtu wydarzeń, wydawałoby się: niewinnych, godnych zapomnienia, które rzucają przecież cień na miasto i oburzają mnie do żywego.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DZIURA W MOŚCIE

Do redakcji zwykle chodzę pieszo, przez Park Poniatowskiego, któremu poświęciłem zresztą swego czasu szereg publikacji. Dwadzieścia lat temu była to latem prawdziwa enklawa zieleni, a zimą można było pojeździć tu na łyżwach i sankach. Obecnie park zeszczuplał i wyłysiał; co roku wycina się stare, chore drzewa, a nie sadzi nowych, toteż nasze wnuki zostaną prawdopodobnie całkowicie pozbawione tego luksusu; postawi się tu jeszcze ze dwa bloki, jedną szkołę i koniec.

Obejdzie się, być może, bez łez, bo co właściwie, poza drzewami, można tutaj znaleźć? Kompleks kortów tenisowych, muszlę koncertową, z której korzysta raz w roku jakaś amatorska orkiestra, sztuczny staw, miasteczko ruchu drogowego i to wszystko, nie licząc akcentów poważnych: dwóch niewielkich cmentarzy żołnierskich oraz pomnik Braterstwa Broni.

Prawdę mówiąc, właśnie owe cmentarze i pomnik znajdowały się zawsze w stanie nie budzącym zastrzeżeń — zimą czy latem uporządkowane przez patronującą im młodzież szkolną, obłożone zwykle wiązankami kwiatów, wzniesione z budulca, który zapewniał im trwałość niezależnie od kaprysów pogody. Stoją tu od zakończenia II wojny światowej i przez cały ten czas nie dawały powodów do wstydu.

Latem jednak bieżącego roku, w końcu sierpnia, władze miejskie postanowiły wyremontować pomnik. Przyszli robotnicy z nareczem ciężkiego sprzętu i zaczęli odłupywać płyty z otaczających go ścian. W rozsądnie myślących przechodniach widok ten budził konsternację i sprzeciw, pomnik bowiem, co powtórzę jeszcze raz, robił nad wyraz solidne wrażenie, zbudowany ze szlachetnego, drogocennego marmuru. Jeśli nawet tu i tam pokazał się niewielki rozstęp, nie wymagało to interwencji młotów i kilofów, najwyżej jakiejś drobnej kosmetyki.

No, ale umysł ludzki, jeśli już zapłonie w nim genialna myśl ulepszania, potrafi rozprawić się z każdą przeszkodą. Mróz, deszcz i czas, którym ostał się parkowy monument, są niczym w porównaniu z siłą ludzkiej inwencji. Pozrywano zatem z lewego skrzydła pomnika płyty z trwałego, szlachetnego marmuru — część udało się zdjąć w stanie prawie nie uszkodzonym, część rozsypała się w drobny mak, a część w większe kawałki. Wszystko to razem, zwalone na kupę, przywodziło różne skojarzenia.

Dalszy ciąg na str. 4

KRONIKA KULTURALNA

Odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków, którego celem było uzgodnienie stanowiska, co do przyszłego kształtu ZPAP. Referat wprowadzający pt. „ZPAP wobec sytuacji w kraju" wygłosił **Andrzej Gieraga.** Podczas spotkania łódzcy artyści plastycy podjęli uchwałę, w której m.in. czytamy: „Wobec wieloletnich negatywnych doświadczeń ZPAP z działań, zmierzających do wykorzystania pełnego potencjału twórczego środowiska na rzecz rozwoju kultury narodowej, odpowiedzialnością za niewykorzystanie tego potencjału obarcza się najwyższe władze resortowe, państwowe i polityczne kraju.

Nadzwyczajne Walne Zebranie opowiada się zgodnie z paragrafem 2 Statutu ZPAP za utrzymaniem pełnej odrębności ZPAP jako jedynego stowarzyszenia twórczego w kraju zrzeszającego artystów plastyków z tą jednak zmianą, by rozszerzyć skalę jego działań o uprawnienia związku zawodowego."

Uchwała zawiera także postulaty: zwiększenia autonomii organizacyjnej i finansowej okręgów ZPAP, zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zjazdu Delegatów ZPAP, który dokonałby również koniecznych zmian w statucie. Zebranie zaakceptowało także projekt listu otwartego do premiera PRL.

W trakcie spotkania wręczono także medale za realizacje twórcze 1979 r. Otrzymali je: **K. Fałdyga-Solska, Z. Władyka, J. Majewski, A. Hałat, A. Szumigaj, E. Błażewicz-Matwim, S. Cuchra-Cukrowski, A. Gieraga i T. Śliwiński.**

24 bm. rozpoczęły się w Łodzi koncertem inauguracyjnym Dni Bachowskie. W koncercie wystąpiła Państwowa Orkiestra Kameralna pod dyr. **Zbigniewa Friemana** oraz soliści: **Magdalena Dezler-Niesiołowska i Michał Grabarczyk.** W programie „Dni" wysłuchać jeszcze będzie można: koncertu kameralnego w wykonaniu **Marty Czarny-Kaczmarskiej,** zespołu instrumentalnego pod dyr. **Zdzisława Drobnera** oraz **Marii Szczuckiej, Jerzego Wolniaka i Zdzisława Krzywickiego.** W kościele ewangelickim przewidziany jest recital organowy austriackiego artysty **Petera Planyavsky'ego,** a także koncert oratoryjny z udziałem chóru i orkiestry PWSM w Łodzi pod dyr. **Zygmunta Gzella** oraz solistów **Danuty Saiskiej, Stanisławy Szopińskiej, Romana Werlińskiego, Stanisława Michońskiego i Piotra Grajtera.**

W poniedziałek 23 bm. o godz. 12 w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza odbyła się uroczysta inauguracja Ogólnopolskiej Konfrontacji „Sztuka Młodych - Łódź 80". Połączona ona była ze zwiedzaniem aktualnych wystaw, a w Teatrze 77 po południu odbyły się wystawienia autorskie, podczas których zaprezentowano prace **Z. Piotrowskiego, J. Bałdygi, J. Onucha, J. Kryszkowskiego, T. Sikorskiego.**

W sali koncertowej Muzeum Historii Miasta Łodzi w poniedziałek bm. odbył się wieczór poświęcony twórczości **Czesława Miłosza.** Wieczór zorganizowany został przez TPŁ, Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi oraz Muzeum Historii Miasta Łodzi.

23 listopada w Małej Sali Teatru Nowego odbyła się premiera **„Szansy" Stefana Otwinowskiego,** ostatniej sztuki zmarłego w 1976 roku krakowskiego publicysty i dramaturga.

W „Szansie" w roli głównej debiutuje na scenie Teatru Nowego młoda utalentowana aktorka **Jolanta Juszko** (w drugiej obsadzie **Joanna Osmakiewicz**). Bardzo interesujące postacie grają: **Kazimiera Nogajówna** oraz **Bogusław Mach.** W pozostałych rolach: **Barbara Dęmińska-Krzysztofek, Barbara Wałkówna, Jacek Chmielnik, Zbigniew Józefowicz, Krzysztof Kaczmarek, Piotr Krukowski, Zygmunt Malawski, Wojciech Pilarski.** Reżyseruje **Adrzej Wanat.** Scenografię przygotował **Zenobiusz Strzelecki.**

Teatr Nowy wznawia po rocznej przerwie cieszące się dużym powodzeniem widzów dyskusje na temat aktualnie granych spektakli. Pierwsze spotkanie odbyło się 11 bm. i poświęcone było tuce Ivo Bresana pt. „Uroczysty bankiet w zakładzie pogrzebowym".

„Mistrzowie kina" to cykl pokazów filmowych, na jaki zapraszają ŁDK i Filmoteka Polska. W bieżącym roku wiązdą tego cyklu jest słynny reżyser amerykański, **John Huston.** W dniach 23—24 listopada obejrzeliśmy dwa filmy: „Skłóceni z życiem" i „Doktor Freud".

Tadeusz Chróścielewski, współpracownik naszego pisma, obchodził niedawno swój jubileusz. Wieczór jubileuszowy odbył się 17 listopada z inicjatywy Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego w Śródmiejskiej Bibliotece Dzielnicowej. Na wieczór obok przyjaciół i bliskich licznie przybyli pisarze, naukowcy, bibliotekarze i regaterze. O twórczości ubilata mówili: dr Henryk Pustkowski i dr Tadeusz Błażejewski.

Gratulując jubilatowi, przypomnijmy jednocześnie, że otrzymał on w ubiegłym miesiącu medal Komisji Edukacji Narodowej.

Foto: W. Parys

SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE JERZEGO PUTRAMENTA

Minęła siedemdziesiąta rocznica urodzin Jerzego Putramenta — pełnego temperamentu pisarza i publicysty, działacza Związku Literatów Polskich, redaktora naczelnego „Literatury". Zarówno życie, jak i twórczość Jerzego Putramenta stanowią symptomy czasu tak wyraźne, że z ich znajomości wiele się można dowiedzieć, czym rzeczywiście żył nasz naród w ciągu ostatniego półwiecza. Stąd może wziął się tytuł popularnego cyklu literackich wspomnień, którego ostatnie tomy sięgają lat ostatnich. Jakkolwiek jest to subiektywna, bardzo osobista wizja minionych wydarzeń politycznych i kulturalnych, częstokroć zresztą skutecznie kamuflowana, to przecież posiada ona przede wszystkim niebagatelne walory poznawcze.

Jerzy Putrament urodził się w Mińsku (na Białorusi), potem mieszkał w Lidzie oraz w Wilnie, gdzie studiował polonistykę na Uniwersytecie Stefana Batorego. Związany był z „Żagarami", „Po prostu" i „Kartą". W okresie wojny przebywał w Związku Radzieckim. Należał do grona założycieli Związku Patriotów Polskich, był oficerem Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Po powrocie do kraju kontynuuje intensywnie twórczość literacką, której nie ogranicza ani działalność redaktorska, ani służba dyplomatyczna (w latach 1945—1950 w Szwajcarii i we Francji), ani liczne i długotrwałe funkcje w Związku Literatów Polskich (między innymi sekretarz generalny oraz wiceprezes Zarządu Głównego).

Jak to zwykle bywa zaczynał Putrament od wierszy. Zadebiutował na łamach prasy w roku 1930. Jednocześnie interesował się dramatem uprawiał też krytykę literacką. W jego dorobku liczy się jednak nade wszystko proza, i to proza polityczna. Jeden z komentatorów współczesnej literatury polskiej napisał kiedyś, iż twórczość Jerzego Putramenta ukształtowana została przez historyczny kataklizm drugiej wojny światowej. Jest to prawda, lecz domaga się ona natychmiastowego uściślenia. Twórczość ta bowiem wynika ze wspomnianego kataklizmu w takim tylko stopniu, w jakim determinuje on wydarzenia, o których autor „Bołdyna" pisze. Realia, w jakich rozgrywają się powieści Putramenta są bardzo ważne, lecz ważniejsze wydają się mechanizmy przez utwory jego odsłaniane. Konflikty, rozterki, klęski i zwycięstwa polityczne nie są bowiem w twórczości Jerzego Putramenta przypadkowe, nie wynikają z żywiołu historii, ale uwarunkowane są określoną orientacją polityczną, postawą społeczną i moralną. I to bez względu na fakt, czy rzeczywistość przedstawiona obejmuje lata dwudziestolecia międzywojennego, czas drugiej wojny światowej, czy różne okresy rozwoju Polski Ludowej. Prawa determinujące procesy historyczne są dla pisarza czymś niezmiennym, zaś wnikliwe, choć niejednokrotnie żmudne, ich poznawanie warunkuje humanistyczną orientację w świecie. Tak oto sformułować można podstawową prawdę pisarstwa Putramenta. W tym kontekście życie ludzkie okazuje się w gruncie rzeczy niewiele znaczącą cząstką szerokich przemian społecznych, bohaterowie utworów Jerzego Putramenta, spełniają najwyżej rolę drobnego kamyczka w wielkiej mozaice. I jakże często pozwalają zaskoczyć się wydarzeniom, jakże często nie potrafią im sprostać, choć nie brak im odwagi i dobrych chęci.

Obfitość dorobku powoduje, iż jest on nierównej miary, zdezaktualizowane realia czynią z niektórych utworów już tylko pozycje historyczno-literackie, lecz zdecydowana większość powieści Jerzego Putramenta ciągle obecna jest na czytelniczym forum. Dość wspomnieć takie tytuły: „Rzeczywistość", „Wrzesień", „Pasierbowie", „Małowierni", „Bołdyn", „Akropol", „Wybrańcy". Ta ostatnia powieść opowiada o samym Putramencie i jego rówieśnikach. W usta jednego z bohaterów, Henryka Dembińskiego, wkłada pisarz takie oto słowa: „Przyszło nam dorastać w paskudnym okresie historii. Kula ziemska przeżywa dogłębne rozdarcie, największe od wielkiej wędrówki narodów. Każdy z nas już lub za kilka miesięcy, lub za parę lat, stanie wobec konieczności wyboru. Nie będzie on łatwy, mimo to będziecie musieli go dokonać (...). Jeśli nie chcemy tylko pozostać przejrzałymi sztubakami, musimy skonfrontować wyniesione z naszej szkoły nauki z rzeczywistością, którą zastaliśmy na świecie..". Taką właśnie stałą konfrontację stanowi twórczość Jerzego Putramenta.

Jerzy Putrament jest laureatem wielu nagród literackich (między innymi otrzymał nagrodę państwową I stopnia za całokształt twórczości), posiada wysokie odznaczenia państwowe.

Do urodzinowych gratulacji dołączamy czytelniczą nadzieję na nowe interesujące utwory.

TB

TYDZIEŃ W POLITYCE

Spotkanie w Madrycie przedstawicieli 35 państw zaledwie się zaczęło — trudno więc obecnie cokolwiek prognozować. Trzeba jednak podkreślić, że dotąd przeważają sprawy konfliktowe, a nie poszukiwanie punktów zbieżnych w dziedzinie rozwoju odprężenia.

W ubiegłym tygodniu debata toczyła się przy drzwiach zamkniętych, w ostatnich dniach **omawiano sprawy tzw. drugiego koszyka, czyli współpracy gospodarczej.** W odpowiedzi na zarzuty strony zachodniej przedstawiciele ZSRR poddali ostrej krytyce sankcje ekonomiczne jakie podjęte zostały przez USA w związku z wydarzeniami afgańskimi. Podważyły one międzynarodowe zaufanie do Stanów Zjednoczonych jako partnera handlowego. Wydarzenia afgańskie były zresztą tylko pretekstem, bowiem już wcześniej USA podejmowały sankcje przeciwko Związkowi Radzieckiemu, odmawiając mu długoterminowych kredytów i statusu zgodnego z klauzulą najwyższego uprzywilejowania. Oczywiście takie postępowanie jest sprzeczne z Aktem Końcowym KBWE.

Przytoczyliśmy ten jeden przykład z dyskusji w stolicy Hiszpanii, aby zorientować Czytelników w przebiegu spotkania i trudnych tematach jakie obecnie są tam podejmowane. Przypominamy, że — zgodnie z ustaleniami — w pierwszej części spotkania omawia się realizację postanowień KBWE.

Z Madrytu przenieśmy się teraz do Wiednia, gdzie **od siedmiu lat trwają rozmowy rozbrojeniowe.** Przed kilku dniami odbyło się 254 posiedzenie, na którym zastanawiano się nad powodami opóźniania rozmów. Państwa zachodnie twierdziły że Wschód nie ustosunkował się do wszystkich proponowanych środków towarzyszących redukcji. Trzeba więc wyjaśnić — i uczynił to w toku rokowań przedstawiciel NRD — że państwa socjalistyczne **uważają środki towarzyszące za część mandatu rokowań wiedeńskich,** nie stanowiącego izolowanego tematu negocjacji. Muszą być one traktowane łącznie z głównym celem rokowań, jakim jest przede wszystkim wypracowanie porozumienia o pierwszym etapie redukcji zbrojeń. A ponadto państwa socjalistyczne wypracowały własną koncepcję środków towarzyszących, na którą dotąd nie otrzymały odpowiedzi strony zachodniej.

Z przedstawionego przykładu wynika, że w **w Wiedniu nie zarysowały się jeszcze możliwości wyjścia z pewnego impasu.** Zmiana ekipy kierowniczej w Stanach Zjednoczonych i tutaj może spowodować pewną grę na zwłokę.

W ubiegłym tygodniu z oficjalną wizytą przebywał w Stanach Zjednoczonych kanclerz H. Schmidt. Rozmawiał on zarówno z ustępującym prezydentem Carterem, jak i prezydentem-elektem Reaganem. Jak wynika z doniesień agencji w obu przypadkach tematem rozmów były m.in. sprawy kontroli zbrojeń, a także konieczności rozwijania stosunków Wschód — Zachód. Brzmiałoby to dość optymistycznie, gdyby nie fakt, że równolegle w Brukseli odbywało się posiedzenie plenarne tzw. Zgromadzenia Atlantyckiego (wzięło w nim udział 172 deputowanych z 15 krajów NATO), na którym **uchwalono kategoryczne żądanie podwyższenia budżetów wojskowych krajów członkowskich o 3 proc. rocznie.**

Ten wątek tematyczny przeglądu wydarzeń minionego tygodnia uzupełnijmy fragmentem artykułu „International Herald Tribune" w którym rozważa się następstwa uzyskania przewagi republikanów w Senacie. Czytamy tam m.in.: „Nowy Senat będzie bardziej skłonny do popierania zwiększonych wydatków wojskowych i bardziej sceptycznie nastawiony do rokowań rozbrojeniowych ze Związkiem Radzieckim". I w innym fragmencie: „Jednocześnie istnieje możliwość rozluźnienia lub całkowitego uchylenia szeregu ograniczeń. Mówi się, iż kilku senatorów opowiada się za zmodyfikowaniem ustawy o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej, aby dać Białemu Domowi większą możliwość w kwestii eksportu materiałów nuklearnych. Mówi się także o rosnącym poparciu dla położenia kresu ograniczeniom na sprzedaż sprzętu wojskowego do krajów generalnie popierających politykę USA, lecz znajdujących się dotąd w niełasce z powodu naruszania praw człowieka..."

Czy rzeczywiście na to wszystko poszedłby Reagan, stwarzając jeszcze niebezpieczniejszą sytuację w świecie? Pisaliśmy już na tym miejscu że **żaden prezydent nie może lekceważyć realiów i oczekiwań narodów,** które biegną akurat w odwrotną stronę.

I kilka zdań na temat dopiero co zakończonej podróży Jana Pawła II do RFN. Wizyta miała charakter pasterski i apostolski, jednakże **nie pozbawiona była także aspektów politycznych.** Papież znów wypowiedział się za zwiększaniem wysiłków na rzecz utrwalenia pokoju, przypominając, że Europa składa się nie tylko z północy i południa, lecz również wschodu i zachodu. Potrzeba pokojowego, dobrosąsiedzkiego współżycia na naszym kontynencie nakazuje konstruktywny dialog, który w duchu Helsinek powinien być prowadzony również w Madrycie.

W. SŁAWSKI

NEGOCJACJE

W poniedziałek, 24 listopada br. w ZPB im. Marchlewskiego rozpoczęły się rozmowy komisji rządowej z Tymczasową Komisją Włókniarzy NSZZ „Solidarność" na temat podwyżek płac i warunków pracy w zakładach przemysłu lekkiego, przywrócenia do pracy osób usuniętych w latach 1970—80 za udział w strajkach oraz metod szkolenia MO i SB. Ze strony administracji państwowej w rozmowach biorą udział: minister przemysłu lekkiego Władysław Jabłoński, I zastępca ministra Stanisław Bajur, podsekretarz stanu w tym ministerstwie oraz Mirosław Woźniakowski, Edmund Wójcicki, Karol Wojciechowski i Zbigniew Majer. W składzie Tymczasowej Komisji Włókniarzy, upoważnionym do prowadzenia rozmów, znaleźli się: Marek Czekalski, Jerzy Dłużniewski, Marek Majewski Stanisław Mecych, Marek Wiśniewski, Krzysztof Woźniak. Z ramienia Krajowej Komisji Porozumiewawczej w negocjacjach uczestniczy Andrzej Słowik, przewodniczący MKZ Ziemi Łódzkiej. „Solidarność" wspiera także grupa ekspertów, głównie naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego.

Już w pierwszym dniu, choć po północy udało się wynegocjować protokół uzgodnień dotyczący podwyżek płac, parafowany przez obie strony.

Trudne ale rzeczowe rozmowy obserwują liczni przedstawiciele z zakładów przemysłu lekkiego całego kraju. Rozmowami tymi żyje także cała włókniarska Łódź, a w szczególności załoga ZPB im. Marchlewskiego, na bieżąco informowana o postępach w rokowaniach.

Nie sposób w tak krótkim zwiastunie choćby zasygnalizować sprawy będące przedmiotem negocjacji. Jeszcze trudniej przekazać niepowtarzalną atmosferę tych rozmów, które śledzi ekipa „Odgłosów". Pełną relację zamieścimy w następnym numerze naszego tygodnika wyrażając w chwili oddawania numeru do druku nadzieję, że rozmowy te zakończą się pełnym porozumieniem, w interesie nas wszystkich. Bowiem od powodzenia takich rozmów zależy przyszłość Polski.

K. F.

P.S
Z wtorku na środę rozmowy uległy zawieszeniu. Tymczasowa Komisja Włókniarzy przekształciła się w Komitet Strajkowy, ogłaszając strajk okupacyjny.

„PROTOKOŁ Z..."

W relacji z wiecu w Hali Sportowej („Odgłosy" nr 47 z 23 listopada 1980 r.) wypowiedź Lecha Wałęsy uległa zniekształceniu wskutek opuszczenia fragmentu tekstu, a tym samym mianie akcentów treściowych. Czytelnicy mogli w związku z tym odnieść mylne wrażenie, jakoby stosunek NSZZ „Solidarność" do problemu rencistów i emerytów jest powściągliwy i ostrożny. W rzeczywistości tak nie było.

RED.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (I z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

WARUNKI SKUTECZNOŚCI REFORMY GOSPODARCZEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

Należy sobie w pełni uświadomić fakt, że trwające obecnie na forum komisji partyjno-rządowej prace nad reformą ekonomiczną napotykać będą na liczne przeszkody i ograniczenia, zarówno obiektywne jak i subiektywne. Występujący tu i ówdzie optymizm towarzyszący przygotowaniom do reformy nie może przesłaniać nam rozlicznych „raf i mielizn", które mogą zagrozić pomyślnemu opracowaniu i zastosowaniu nowych rozwiązań systemowych. Istotę skali trudności wyłaniających się w procesie konstruowania tych rozwiązań oddaje w pełni następująca myśl: realizowanie nowego planu i działanie zgodnie z planem zwyczajowym to rzeczy równie odmienne jak budowanie drogi i chodzenie po niej. Przekonanie o wadze owych trudności inspiruje do rozważań na temat **warunków gwarantujących skuteczność reformy**. Intencją tego artykułu jest przedstawienie najważniejszych warunków nieodzownych dla pomyślnego przeprowadzenia reformy. Warunki te można nazwać wstępnymi przesłankami skuteczności reformy. Obejmują one swym zakresem cały szereg warunków dotyczących rozwiązań polityczno-instytucjonalnych, układu sił społecznych, sposobu opracowywania programu reformy, sposobu prezentacji reformy opinii publicznej itp. Retrospektywna analiza poprzednich nieudanych przedsięwzięć polegających na tzw. doskonaleniu systemu planowania i zarządzania gospodarką narodową pozwala stwierdzić, że nie zaistniało wtedy wiele warunków dostatecznych dla powodzenia proponowanych zmian. Konsekwencją tego były powroty do rozwiązań tradycyjnych inspirowane przez siły konserwatywne.

Rzetelny opis warunków skuteczności reformy ekonomicznej wymaga odrzucenia licznych **tabu i „prawd obiegowych"**, które w przeszłości paraliżowały postępową ewolucję systemu funkcjonowania gospodarki narodowej i państwa. Klasycznym przykładem tematów — tabu są problemy związane z funkcjonowaniem nadbudowy polityczno-ideologicznej, w tym zwłaszcza system sprawowania władzy, styl i metody działania centralnych organów gospodarczych itd. Równolegle obok problemów — tabu istnieją w naszej rzeczywistości rozmaite „prawdy obiegowe", na które zapotrzebowanie było tak wielkie, że w rezultacie lwia część interpretacji zjawisk społeczno-gospodarczych służyła ich głoszeniu. Probierzem prawdy obiegowej jest to, iż mogą ją łatwo zaaprobować czynniki oficjalne odpowiedzialne za gospodarkę. Zyskuje akceptację tych, którym się ją głosi. Z biegiem czasu prawda ta obrasta w bogatą literaturę, a nawet mistykę. Głoszenie jej staje się sui generis obrzędem religijnym. Najbardziej niebezpieczną cechą prawdy obiegowej jest utożsamianie jej z prawdziwą wiedzą. Ludzi kwestionujących sens owej prawdy traktuje się, oględnie mówiąc jako ekscentryków. Podejmowanie decyzji gospodarczych opartych na prawdach obiegowych prowadzi w prostej linii do narastania napięć ekonomicznych i społecznych. Typowymi przykładami ekonomicznych prawd obiegowych są: wszechwiedzą centrum planistycznego, prymat polityki nad ekonomika, konieczność szybszego rozwoju działu I (wytwarzającego dobra inwestycyjne) niż działu II (produkującego dobra konsumpcyjne), kurs na tworzenie wielkich organizacji gospodarczych, forsowanie zmian systemowych przy pomocy metody tzw. „małych kroków" etc.

* * *

Wprawdzie projekt reformy gospodarczej znajduje się dopiero w stadium embrionalnym, to jednak można już obecnie bez cienia przesady stwierdzić, iż zmiany w systemie funkcjonowania odbywają się pod hasłami decentralizacji, samorządności robotniczej i zracjonalizowania gospodarki jako całości. Sedno problemu tkwi w tym, aby te niewątpliwie słuszne hasła nie pozostały tylko i wyłącznie hasłami czy zaklęciami.

Pomyślność przeprowadzenia reformy uzależniona jest w pierwszym rzędzie od czynników politycznych, czyli od wyraźnej woli i siły politycznej, od determinacji władzy w działaniu na rzecz postępowych przemian. Doniosłość tego warunku wynika z faktu, że **wszystkie większe przedsięwzięcia zmierzające do modyfikacji systemu funkcjonowania gospodarki miały inspiracje polityczne.** Dlatego też bez silnego wsparcia politycznego, którego powinna udzielić przede wszystkim partia, zapropopowane zmiany mogą nie być dostatecznie trwałe i system może wykazać tendencję do inercji.

Nie ulega wątpliwości, że **decentralizacja gospodarcza i postulat większej samodzielności socjalistycznego przedsiębiorstwa nie są tylko problemami ekonomicznymi.** Wiążą się najściślej ze sprawą systemu politycznego i charakterem socjalistycznej kultury. Socjalizm jest, zgodnie z duchem i literą marksizmu, wolnością, a uspołecznienie środków produkcji ma stworzyć podstawy dla wszechstronnego rozwoju osobowości ludzkiej, jej twórczości, inicjatywy i aktywności. Decentralizacja ekonomiczna stwarza konkretne przesłanki prawdziwej demokracji socjalistycznej. Wprowadzenie decentralizacji do naszego życia ekonomicznego wymaga gruntownej przebudowy i redukcji aparatu administracyjnego, a przede wszystkim instytucji centralnych (w postaci: komisji planowania, dużej ilości ministerstw branżowych, zjednoczeń, central handlu zagranicznego itd.). Instytucje te są normodawcze, tzn. wydają rozporządzenia, zarządzenia, listy okólne, wytyczne itp. do podległych sobie organizacji, zakładów itp. Cechą charakterystyczną tych wszystkich instytucji naczelnych są krzyżujące się kompetencje i niejasne ustalenia ich formalnej hierarchii. Stwarza to doskonałe warunki do wzajemnego przerzucania decyzji i odpowiedzialności. Stąd np. fakty, że za określone pociągnięcia władzy przynoszące szkodę publiczną niezmiernie trudno jest znaleźć odpowiedzialych. Na tym tle rodzi się anonimowość decyzji i brak łączności między instancją a podporządkowanymi jej jednostkami.

Doświadczenie naszej gospodarki pokazuje, że aparat centralny łatwo ulega petryfikacji i jest bardzo oporny na zmiany. Każda postępowa w tej dziedzinie zmiana burzy ukształtowany historycznie układ stosunków, eliminuje rutynę postępowania wewnątrz poszczególnych organizacji i w stosunkach między organizacjami, podważa uzyskane przez pewnych ludzi wygodne pozycje: niektórzy tracą prestiż, wpływy, korzyści, przywileje a nawet umiejętności. Opór centralnej biurokracji jest tym silniejszy, im głębsze są zmiany. Zastąpienie dotychczasowego scentralizowanego systemu zarządzania systemem opartym na mechanizmach ekonomicznych i samorządności załóg spowoduje, że niektóre ogniwa aparatu centralnego staną się po prostu zbędne, nastąpi ich obumarcie. Egzemplifikacją tego poglądu mogą być doświadczenia reformy węgierskiej, która okazała się bezlitosna dla pewnych instytucji centralnych likwidując większość zjednoczeń branżowych i modyfikując funkcjonowanie ministerstw resortowych. Operacja przeprowadzona na gospodarce węgierskiej udowodniła, że procesy ekonomiczne mogą znacznie sprawniej funkcjonować bez pewnych ogniw aparatu centralnego.

Socjologia przypomina, że przezwyciężenie skostnienia tego aparatu jest tym trudniejsze, im silniejszą pozycję ma ten aparat w stosunku do czynników politycznych i różnych sił społecznych. Istotną rolę odgrywa stopień wyodrębnienia i ustabilizowania aparatu oraz stopień jego wyalienowania ze społeczeństwa. W związku z tym **przebudowa skostniałego aparatu centralnego wymaga uruchomienia sił zewnętrznego nacisku, sił o charakterze politycznym.** Tylko one mogą zagwarantować, że aparat administracyjny nie będzie hamował procesu demokratyzacji systemu funkcjonowania gospodarki.

Bardzo ważnym **warunkiem skuteczności reformy ekonomicznej** jest zintegrowane potraktowanie w jej założeniach mechanizmów gospodarczych i silnie eksponowanej obecnie zasady partycypacji pracowników w procesach współzarządzania gospodarką narodową. Wskazują na to zjawiska występujące w postawach i dążeniach klasy robotniczej, zmiany zachodzące w ruchu związkowym oraz przewartościowania w aspiracjach społeczeństwa, które obecnie bardziej niż kiedykolwiek odczuwa potrzebę udziału w decydowaniu o najżywotniejszych sprawach społeczno-ekonomicznych Polski. Zwiększenie roli związków zawodowych wytwarza **nowy układ sił społecznych w gospodarce.** Przeniesienie tego układu na grunt przedsiębiorstwa powinno znaleźć swój wyraz **w umocnieniu pozycji samorządu robotniczego** jako instytucji autentycznego współgospodarza. W tym kontekście problemem o wielkiej doniosłości jest określenie zakresu samodzielności ekonomicznej przedsiębiorstwa właśnie z punktu widzenia roli samorządu robotniczego. Można stwierdzić, iż dla pełnej realizacji idei samorządności robotniczej konieczne jest rozszerzenie autonomii przedsiębiorstw socjalistycznych.

Na tle zarysowującego się wzmocnienia pozycji samorządu robotniczego rodzi się trudny do rozwiązania problem, który z całą ostrością staje przed twórcami reformy. Jest to **problem stosunków między kierownictwem przedsiębiorstw i samorządem robotniczym.** Samorząd ten jest podstawowym elementem socjalizmu, ale w gospodarce przedsiębiorstwa niektóre zasadnicze decyzje nie mogą podlegać prawu rozstrzygania większością głosów. Decyzje kierownictwa muszą wynikać z opinii ekspertów: planistów, ekonomistów, analityków rynku, technologów, konstruktorów itd. Podkreślenie znaczenia czynnika fachowości w zarządzaniu przedsiębiorstwem nie oznacza bynajmniej powrotu do skompromitowanej koncepcji pseudotechnokracji. Pragnę tylko wyrazić pogląd, że nie może mieć miejsca tak częste w naszej praktyce, przechodzenie od jednych rozwiązań ekstremalnych do drugich. Należy jednocześnie stwierdzić, że właściwe stosunki między kierownictwem przedsiębiorstwa a samorządem robotniczym są gwarancją socjalistycznego charakteru przedsiębiorstwa, gwarancją, że przedsiębiorstwo nie służy celom partykularnym, lecz ogólnospołecznym.

Samorząd robotniczy stanowi część składową planowania gospodarczego. Podstawą systemu gospodarczego socjalizmu pozostaje planowanie centralne, a kierownictwo przedsiębiorstw i samorząd działają na podstawie zadań wynikających z narodowego planu gospodarczego. Odpowiedzialność przed państwem za kierowanie działalnością przedsiębiorstwa ponosi **dyrektor.** Zarazem ponosi on odpowiedzialność przed załogą za realizację uchwał i postulatów samorządu robotniczego. Istnienie owego dualizmu odpowiedzialności dyrektora może być przyczyną pewnych konfliktów występujących w przedsiębiorstwach. Wydaje się jednak, iż opracowanie racjonalnego systemu wiązania płac załogi z efektami pracy przedsiębiorstwa oraz precyzyjne określenie kompetencji kierownictwa i uprawnień samorządu robotniczego spowoduje osłabienie tych konfliktów. Samorząd robotniczy jest szansą stworzenia nowej więzi pracownika z miejscem pracy. **Robotnik** będący rzeczywistym współwłaścicielem zakładu zdobędzie zainteresowanie długookresowym rozwojem swojego przedsiębiorstwa, działalnością innowacyjną, poprawą efektywności gospodarowania. Czynnik ten może być potężnym źródłem niematerialnych motywacji załóg w dziedzinie podnoszenia wydajności pracy.

Nieskuteczność poprzednich zmian systemowych wynikała również z odcinkowego, fragmentarycznego charakteru dotychczasowych reform. Instytucje odpowiedzialne za modernizację systemu funkcjonowania nie uwzględniały należycie w swoich poczynaniach podstawowej prawdy o gospodarce narodowej, która głosi, że gospodarka ta jest jednolitym organizmem, poszczególne jej części są wzajemnie ze sobą powiązane i nie mogą być usprawniane oddzielnie. Koniecznym zatem warunkiem skuteczności reformy jest **kompleksowy charakter rozwiązań systemowych.** Warunek kompleksowości wypływa ze sprzężeń, jakie zawarte są w systemie funkcjonowania. Są to sprzężenia dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, sprzężenia systemu z siłami wytwórczymi, potrzebami społeczeństwa, strategią gospodarczą i gospodarką światową (jej stanem, tendencjami i związkami z naszą gospodarką). Po wtóre, sprzężenia podstawowych podmiotów systemu, tzn. organizacji planowania centralnego oraz przedsiębiorstw socjalistycznych i ich związków.

Spełnienie warunku kompleksowości zmian wymaga zatem objęcia reformą planowania centralnego, organizacji aparatu centralnego, cen i płac, handlu zagranicznego, mierników i bodźców, systemu finansowego, polityki kadrowej itd. Dla powodzenia reformy gospodarczej newralgicznym problemem jest zapewnienie spójności między zasadami działania i współdziałania poszczególnych ogniw aparatu centralnego a zasadami ekonomiczno-finansowymi przedsiębiorstw. Podstawowym grzechem zmian systemowych po 1971 r. był brak zgodności między tymi zasadami. Zmianie systemu ekonomiczno-finansowego przedsiębiorstw nie towarzyszyła zmiana zasad i stylu działania aparatu centralnego. Wobec tego system ów był od początku swego istnienia wewnętrznie sprzeczny, co spowodowało jego niską efektywność społeczno-ekonomiczną i w rezultacie odejście od pierwotnych założeń nowego systemu.

Teza o kompleksowym charakterze reformy gospodarczej posiada swoich przeciwników. Twierdzą oni, że w warunkach silnych napięć inflacyjnych występujących na rynku wewnętrznym i olbrzymiego deficytu w bilansie płatniczym kraju nierealne jest wprowadzenie zakrojonej na szeroką skalę i ambitnej reformy gospodarczej. W ich mniemaniu należy najpierw złagodzić napięcia gospodarcze, uporządkować gospodarkę, a następnie wprowadzić głębsze zmiany. W zamian za gruntowną reformę proponują **doraźne usprawnienia** i zmiany wprowadzane metodą „małych kroków".

Przedstawiony pogląd należy uznać za błędny, a postulowaną metodę naprawy gospodarki za pozbawioną racji bytu. Warto w tym miejscu przypomnieć, że zjawisko ostrej nierównowagi gospodarczej jest w znacznym stopniu skutkiem nieracjonalnego systemu funkcjonowania gospodarki narodowej. Dotychczasowa praktyka krajów socjalistycznych dowodzi że tradycyjny system scentralizowany rodzi głębokie stany nierównowagi rynkowej. Stosowane w tym systemie narzędzia zarządzania w postaci nakazów i limitów nie wyzwalają rezerw gospodarczych i nie zachęcają do wydajnej pracy. Ogólnie rzecz biorąc system ten nie stwarza przesłanek do przezwyciężenia napięć gospodarczych, a wręcz przeciwnie wykazuje tendencję do kumulacji nierównowagi, której nie łagodzą czynniki o działaniu korygującym. Powstaje sytuacja „błędnego koła" powiązań równowagi i systemu funkcjonowania, której nie można rozwiązać na gruncie scentralizowanego systemu planowania i zarządzania. Z tego wywodu wypływa wniosek, że **jedynie kompleksowe zmiany w systemie funkcjonowania mogą przyczynić się do złagodzenia ostrych dysproporcji gospodarczych.**

Szczególnie paląca jest potrzeba usprawnienia systemu podejmowania **decyzji inwestycyjnych** oraz zmiany kryteriów oceny działalności przedsiębiorstw. Dopóki istnieć będą: woluntaryzm w dziedzinie decyzji inwestycyjnych i ocena przedsiębiorstw według wzrostu wolumenu produkcji, dopóty nie wyeliminuje się podstawowych przyczyn nierównowagi gospodarczej.

Projektowanie reformy nosi wszelkie cechy pracy koncepcyjnej wymagającej ciągłego konfrontowania pomysłów teoretycznych z realiami naszej gospodarki. Wydaje się więc, iż bardzo istotnym warunkiem skuteczności reformy gospodarczej jest sposób prowadzenia prac nad jej kształtem, dobór kompetentnego gremium ekspertów, możliwość uwzględnienia kontrpropozycji oraz sposób prezentacji wyników działania komisji ekspertów opinii publicznej. Z enuncjacji prasowych wiadomo, że komisja ta została powołana do życia i przystąpiła już do wstępnych prac. **Skład komisji** stanowią przedstawiciele nauki, politycy reprezentujący partię i rząd oraz, co jest pewną innowacją — robotnicy. Jest to potężne gremium które utworzyło dodatkowe komisje problemowe skupiające w sobie ekspertów nie wchodzących w skład komisji zasadniczej.

Skład komisji zasadniczej może budzić uzasadnione **obawy** wynikające z dwóch ważkich powodów. Po pierwsze, zasiadają w niej pewni politycy, którzy posiadając w latach sześćdziesiątych duży wpływ na naszą gospodarkę nie potrafili swoją działalnością poprawić systemu funkcjonowania. Obecnie znaleźli się w pierwszym szeregu odnowicieli owego systemu. Po wtóre, niepokojąco znaczny jest udział w tej komisji przedstawicieli centralnego aparatu gospodarczego, którzy nie będą chyba skłonni „głosować" za redukcją określonych ogniw tego aparatu. Efekty te mogą negatywnie rzutować na efektywność pracy komisji i doprowadzić do kompromisów korzystnych dla najsilniejszych gospodarczych grup nacisku.

W świetle zgłoszonych wyżej zastrzeżeń należałoby zastanowić się nad potrzebą powołania **grupy ekspertów niezależnych od rządu.** Ich zadaniem byłoby opracowanie **alternatywnego programu reformy** gospodarczej. Konfrontacja różnych koncepcji mogłaby w istotnym stopniu przyczynić się do wzbogacenia treści reformy. Istnienie instytucji niezależnych ekspertów stałoby się ważnym elementem demokratyzacji naszej gospodarki i życia politycznego. Wydaje się, iż nadszedł najwyższy czas aby wyzbyć się uprzedzeń i nieufności do tej instytucji.

Proces demokratyzacji życia publicznego wymaga, aby praca komisji ekspertów posiadała **jawny charakter.** Cząstkowe wyniki działalności komisji powinny być publikowane i popularyzowane. Idzie o to, aby społeczeństwo mogło je ocenić i zaaprobować względnie zaproponować w nich określone poprawki. Należy w związku z tym stworzyć w środkach masowego przekazu warunki dla autentycznej i krytycznej dyskusji na temat projektu reformy gospodarczej. Dyskusja ta pozbawiona jakichkolwiek elementów manipulatorskich powinna przybliżyć społeczeństwu założenia reformy i tym samym ułatwić jej zrozumienie. Może to mieć kolosalne znaczenie w stadium wcielania reformy w życie. Łatwiej bowiem wprowadza się do praktyki rozwiązania przyjęte w wyniku jawnych i demokratycznych rozstrzygnięć niż projekty wypracowane przy „zielonym biurku" i narzucone przez urzędników wysokiego szczebla.

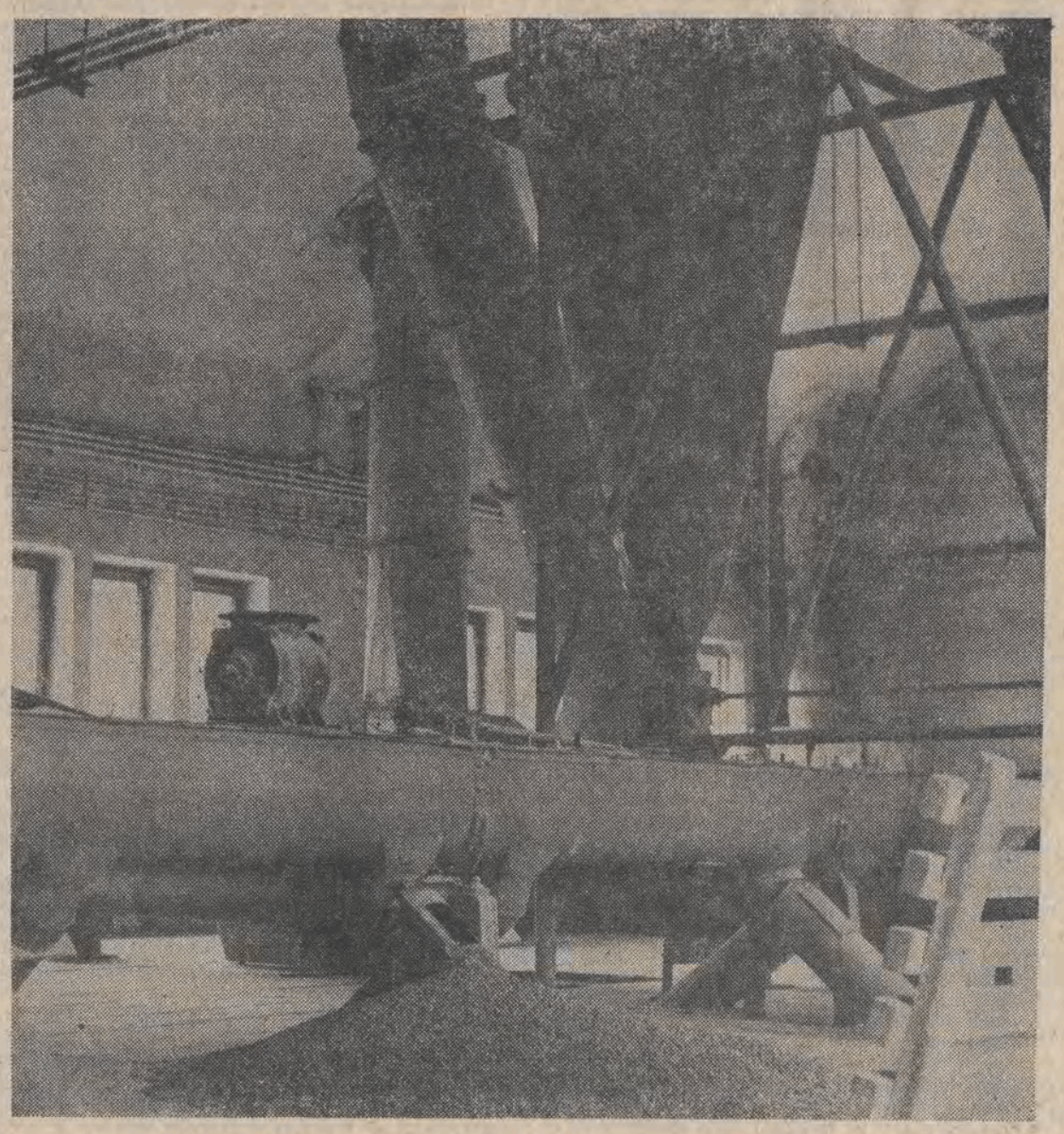

Foto: R. Łucyszyn

WITOLD KASPERKIEWICZ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W POSZUKIWANIU SKUTECZNEGO RAD SPOSOBU

Dyskusja przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem partii już się rozpoczęła. Rozpoczęła się, mimo że jeszcze nie zebrał się Komitet Centralny partii na swoim VII posiedzeniu, nie ustalono daty IX Zjazdu, nie przedstawiono do dyskusji tez zjazdowych. Stało się tak dlatego, że w partii występuje znaczne zniecierpliwienie, biorące się — jak się to ocenia — ze zbytniej powolności w działaniu centralnej instancji, jak też z zaniepokojenia o dalsze losy partii i narodu. Dyskusja rozpoczęła się więc niejako samorzutnie, wynikając — z jednej strony — z partyjnego poczucia odpowiedzialności za losy kraju, a — z drugiej strony — z zerwania z dotychczasowym oczekiwaniem na dyrektywy i instrukcje. Jest to więc fakt w istocie swojej pozytywny.

Początek tej dyskusji jest bardzo różny. Różne są bowiem partyjne inicjatywy. Chciałbym się zająć dwiema: **„MANIFESTEM KOMUNISTÓW"** opracowanym przez członków partii w ZPB im. J. Marchlewskiego oraz programem **„CO ROBIĆ? PALĄCE ZAGADNIENIA NASZEGO RUCHU"** dyskutowanym na plenarnym posiedzeniu Komitetu Zakładowego PZPR w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica", a także na posiedzeniach innych organizacji partyjnych.

Są to materiały bardzo różne. Różna jest też ich geneza. **„MANIFEST KOMUNISTÓW"** przedyskutowany na posiedzeniu KZ PZPR w ZPB im. J. Marchlewskiego został rozesłany do instancji partyjnych: centralnej, wojewódzkiej, dzielnicowej oraz do redakcji „Trybuny Ludu". I — jak to mówił na ostatnim plenarnym posiedzeniu KŁ PZPR Krzysztof Żebrowski, I sekretarz KZ w „Marchlewskim", o czym pisałem w poprzednim numerze „Odgłosów" — nie wywołało to żadnego odzewu. Inaczej postąpiła organizacja partyjna „Foniki". Na posiedzenie KZ PZPR poproszeni byli sekretarze innych organizacji partyjnych z Górnej, a także z uchwałami KZ w „Fonice" mogli zapoznać się sekretarze innych organizacji, jeśli uchwały te ich zainteresowały i chcieli zapoznać z nimi swoje organizacje. Mówił też o tym przedstawiciel „Foniki", Bernard Rogowski na ostatnim posiedzeniu KŁ PZPR.

Pod koniec ubiegłego tygodnia z obu materiałami zapoznała się Komisja Ideologiczna KŁ PZPR, która zebrała się po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Po prostu, jeszcze do niedawna nie było potrzeby zajmowania się ideologią. Tak się przynajmniej niektórym ludziom wydawało.

Oba wspomniane materiały mają tezy wspólne, jak i różne. Zacznę więc od tego, co w obu materiałach jest wspólne.

1. Co stało się w Polsce?

„CO ROBIĆ?": **„Począwszy od połowy bieżącego roku dokonują się w Polsce wydarzenia o charakterze rewolucyjnym. Inicjatorem ich i główną siłą sprawczą są pracownicy wielkich zakładów przemysłowych wspieranj przez coraz szersze kręgi całego społeczeństwa. Ruch ten zmierza do ostatecznego odrzucenia dotychczasowego sprawowania władzy i metod budowy socjalizmu. Chodzi o to, aby dyktatura proletariatu nie była dyktaturą nad proletariatem... Nie można już dłużej rządzić w ten sposób, że silnie rozbudowany biurokratyczny aparat partyjno-państwowy i gospodarczy narzuca narodowi do realizacji arbitralne i woluntarystyczne decyzje".**

„MANIFEST KOMUNISTÓW" odpowiedź na powyższe pytanie formułuje znacznie obszerniej. Autorzy wychodzą z założenia, że **„idea komunizmu stanowi motor postępu ludzkości" „ucieleśnia największe marzenie człowieka — marzenia o „raju na ziemi". Idea komunizmu jest formą zaspokajania potrzeby człowieka do posiadania. Pragnienie posiadania jest naturalną potrzebą człowieka."** I ta **„idea komunizmu w Polsce została wypaczona..."** Musiało zatem dojść do konfliktu, bowiem **„komunizm to ustrój, w którym władza należy do ludzi pracy oraz dominuje własność kolektywna", a „wspólna własność środków produkcji obok współwładania to dwa najważniejsze filary komunizmu".** I oba te filary zostały naruszone. Autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" uważają bowiem, że **„socjalizm w Polsce wypaczono do tego stopnia, że przypomina on jakiś konglomerat ustroju wczesnokapitalistycznego i utopijnego socjalizmu".** Ten pogląd uzasadniają następująco: **„Znajdują się w nim (w socjalizmie — przyp. L. W.) elementy ustroju kapitalistycznego: prywatna własność — wyzysk człowieka przez człowieka, nierówność społeczna, antagonizmy klasowe, sprzeczność interesów, strajki, głodówki oraz socjalizmu utopijnego: naiwne rozumienie natury ludzkiej (bezinteresowność), doktrynerskie rozumienie zasad gospodarowania i inne."**

A więc takie było tło konfliktu I nie tylko w 1980 roku. Zdaniem autorów „MANIFESTU KOMUNISTÓW" również w latach 1956 i 1970 **„ludzie pracy nie walczyli z cieniem — jak niektórzy chcieliby to przedstawić — na przeciwko siebie stawały klasa mandatariuszy i klasa robotnicza".**

Kim są mandatariusze?

„W wyniku przywłaszczenia mandatów wytworzył się w Polsce nowy ustrój. Stosując marksistowską klasyfikację ustrojów — piszą autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" — o nazwie ustroju decyduje posiadanie — panujący w okresie przedsierpniowym w Polsce ustrój należy nazwać — MANDATALIZM. Do takiej nazwy dochodzimy stosując analogię: posiadanie kapitału — kapitalizm, posiadanie mandatu — mandatalizm."

Starałem się dość obszernie sprezentować poglądy autorów „CO ROBIĆ?" i „MANIFESTU" na temat tego, co się w Polsce wydarzyło, czyli na temat źródeł konfliktu. Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że społeczny ruch, jaki dokonuje się obecnie, zmierza do odrzucenia skompromitowanych form rządzenia, a nie zmierza do zmiany ustroju. Jest to ruch w swojej istocie socjalistyczny. I na takim gruncie pojawiają się pierwsze, samodzielne dokonywane w organizacjach partyjnych próby oceny istoty zachodzących procesów społecznych

Przypomnę w tym miejscu słowa wypowiedziane na VIII Plenum KC PZPR w dniu 19 października 1956 roku przez Władysława Gomułkę:

„Klasa robotnicza to nasza klasa, nasza niezłomna siła (...). Bez niej, to znaczy bez zaufania klasy robotniczej, każdy z nas nie mógłby faktycznie niczego więcej reprezentować poza własną osobą (...).

Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli dzierżących ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawowania władzy w imieniu mas pracujących. Kredyt zaufania może być bez przerwy przedłużany pod warunkiem wywiązywania się z zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodawców. Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy.

Rządzić krajem można nawet i w takich warunkach. Tylko rządy będą wówczas złe. Muszą się bowiem opierać na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemocy."

Słowa te brzmią aktualnie i dziś. Naiwnością jednak byłoby sądzić, że wystarczy co jakiś czas zaglądać do 10 numeru „Nowych Dróg" z 1956 roku, aby zaraz wszystko wracało do normy, aby nie było łamania praworządności, biurokracji, aby wracał kredyt zaufania do władzy. Historia nie lubi się powtarzać i rządzi się prawami, które niewiele mają wspólnego z czyjąś dobrą wolą lub z jej brakiem. Jeśli dziś wymienia się jednym tchem kryzysy z lat: 1956, 1970 i 1980, to przecież mimo wielu podobieństw różnią się one między sobą zasadniczo, chociaż przyczyny wszędzie są podobne. Przypomnę tylko, że wydarzenia grudniowe z 1970 roku przyniosły zmianę ekipy rządzącej, do cofnięcia podwyżki cen, co było bezpośrednim powodem wybuchu konfliktu, zmusiły ówczesny rząd łódzkie kobiety w lutym 1971 roku. A jak różne od tamtych są wydarzenia z sierpnia 1980 roku, różne pod względem przyczyn i skutków.

Społeczeństwo socjalistyczne nie jest wolne od sprzeczności. Jest to prawda, o której ciągle się zapomina, co tylko świadczy, że do analizy rzeczywistości społecznej nie podchodzi się w sposób marksistowski. Jeśli bowiem społeczeństwo traktuje się w sposób dialektyczny, to konsekwencją tego musi być wydobywanie i analizowanie sprzeczności, konfliktów oraz szukanie sposobów ich rozwiązywania. A tego przez całe dziesięciolecie nie robiono, ograniczając się tylko do frazesów o jedności zgodności i jednomyślności narodu. Nie chciano dostrzegać konfliktów, szukać ich źródeł i sposobów przezwyciężania, bo to oznaczałoby przyznanie się do błędnej polityki tych, którzy przez to dziesięciolecie sprawowali władzę. Aż doszło do wybuchu.

2. W poszukiwaniu sprawiedliwości.

„CO ROBIĆ?": **„Dziś partia winna stać się natychmiast siłą napędową rewolucji i stanąć na jej czele, gdyż inaczej zostanie zmieciona przez żywioł historii. W tym celu musi podjąć działania na rzecz ponownego podziału indywidualnych dochodów i prywatnego majątku. Trzeba po prostu spowodować, aby nadmiernie bogaci znacząco stracili na korzyść biednych.**

Wprowadzane przez rząd podwyżki płac bez obniżenia dochodów najwyżej zarabiających i opodatkowania majątku najbogatszych grup prowadzą do inflacji i „czarnego rynku". A to oznacza, że koszty kryzysu spadną na barki najuboższych (...).

Aby uwieńczyć proces rewolucyjny trzeba ponadto surowo ukarać tych, którzy wzbogacili się w sposób nielegalny. A majątek przez nich zgromadzony przeznaczyć na pomoc dla biednych. W tym celu należałoby stworzyć Nadzwyczajną Komisję — złożoną z przedstawicieli NSZZ „Solidarność", innych związków i organizacji oraz MO, Najwyższej Izby Kontroli, Komisji Kontroli Partyjnej — która wnikliwie zbadałaby i ujawniła wszystkie przypadki nadmiernego wzbogacenia. Komisja ta powinna umożliwić każdemu zainteresowanemu weryfikację plotek i podejrzeń."

„MANIFEST KOMUNISTÓW": **„...idea komunizmu ma śmiertelnego wroga. Tym wrogiem jest ludzka zachłanność. Zachłanność — lub inaczej pragnienie człowieka do zaspokajania potrzeb na wciąż nowym poziomie — stanowi motor ludzkiej aktywności. Pragnienie to pobudza ludzi do działania, stanowi motor postępu cywilizacyjnego ludzkości... Drugie oblicze zachłanności przybiera zbrodniczy charakter, wyrażający się w łamaniu ustalonych między ludźmi norm moralnych — zasad zdobywania środków zaspokajania potrzeb. Są ludzie, którzy w przeszłości, a także dziś, uważają się za „wybrańców losu". Uważają, że raj dla wszystkich jest mrzonką, utopią."**

W ocenie obecnego konfliktu społecznego sprawa podziału dóbr ma ogromne znaczenie. Nie ma zebrania, żeby na ten temat nie mówiono, żeby nie krytykowano niesprawiedliwy podział dóbr, wadliwy i niesprawiedliwy system płac, rent, żeby nie krytykowano tych, którzy mieli i mają różne przywileje. W żadnym z dotychczasowych kryzysów sprawa ta nie była tak ostro stawiana, jak obecnie. Wynika to stąd, że Polska przez ostatnie lata znacznie rozwinęła swój potencjał gospodarczy, nie potrafiąc jednocześnie wykorzystać go we właściwy sposób. Robiono to pod hasłem: **„Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej"**, ale niektórzy hasło to zrozumieli tak, że Polska w siłę rosnąć będzie automatycznie, bez ich udziału, oni natomiast dokładnie zatroszczą się o to, aby im żyło się dostatnio. I tak postępowali, co budziło rozgoryczenie ogromnych mas ludzi, którzy pracowali w pocie czoła i niewiele z tego mieli. Dlatego sprawa podziału dóbr, sprawa przywilejów i moralnej oceny ludzi nabierała coraz większej ostrości.

W każdym społeczeństwie tworzą się różne grupy ludzi, których jednoczą wspólne interesy. Ludzie na ogół swoje jednostkowe interesy załatwiają we współdziałaniu. W danej grupie społecznej, kiedy występują wspólne interesy, wtedy grupa działa zgodnie, współpraca między jej członkami układa się dobrze. Jeżeli różne grupy działają wspólnie i zmierzają do tego samego celu, a możliwość jego realizacji nie ogranicza ich dążeń, wówczas również nie ma jeszcze sprzeczności między interesami tych grup. Gdy jednak możliwości realizacji takich samych celów są ograniczone, dochodzi do sprzeczności, która może ujawnić się w formie konfliktu. Dochodzi wtedy do walki. W walce każda ze stron dąży do osiągnięcia swoich celów kosztem strony drugiej, osłabienia tej strony, pozbawienia jej pewnych wartości i możliwości.

Źródła i treść walki społecznej można ustalic znajdując odpowiedź na pytanie o źródła i treść sprzecznych interesów rożnych grup społecznych. W walce społecznej zawsze będzie to podział dóbr materialnych. Im wyższy jest rozwoj cywilizacyjny społeczeństwa, im więcej może ono wytworzyć dobr do podziału, tym ostrzej będą się rysowały konflikty na tle podziału tych dobr. Zaspokajanie potrzeb społecznych na dobra materialne — wbrew temu, co by się mogło pozornie wydawać — zależy nie tylko od ich ilości, ale też od dystrybucji. Muszą więc działać jednocześnie dwa czynniki: musi być dostateczna ilość dobr materialnych wytworzonych przez ludzi w procesie pracy oraz musi być sprawiedliwy ze społecznego punktu widzenia system ich dystrybucji. Jeśli tak jest, nie ma sprzeczności, nie rodzą się społeczne konflikty. W społeczeństwach klasowych, burzuazyjnych muszą one występować nieustannie, są to bowiem konflikty rodzące się na gruncie walki klasowej, rozdziału własności i pracy. Są to więc konflikty antagonistyczne i rozwiązywane są na drodze walki rewolucyjnej.

W socjaliźmie natomiast nie ma obiektywnych podstaw do tego, aby dochodziło do konfliktów antagonistycznych. Rodzące się przeciwieństwa na gruncie pojawiających się sprzeczności interesów rożnych grup nie powinny prowadzić do konfliktów, gdyż socjalizm stwarza takie możliwości, aby sprzeczności te rozładowywać. Służyć ma temu demokracja socjalistyczna, społeczna sprawiedliwość wynikająca z istoty ustroju oraz społeczny różnorodnie funkcjonujący system kontroli. Taka jest teoria. W praktyce udaje się ją realizować przez pewien okres, aby szybko odchodzić od demokratycznych zasad rządzenia. Wtedy sprzeczności zaczynają się zaostrzać i przeradzają się w ostry, otwarty konflikt, który wywołuje wybuch społecznej walki. Tak było w 1956 roku, tak było w 1970 roku, tak było w 1980 roku. Zawsze, aczkolwiek w różnej formie i stopniu, podstawą tych kryzysów były zakłócenia w systemie dystrybucji dóbr materialnych. Towarzyszyło temu odejście od demokratycznych form rządzenia, łamanie samorządności, która stanowi podstawę wszelkiej kontroli społecznej. Na ogół przy okazji analizowania zjawisk towarzyszących kryzysom społecznym i politycznym u nas mówi się, że następują wypaczenia socjalizmu. Sądzę, że następuje wówczas odejście do socjalizmu. Im więcej mamy demokracji, tym bliżej jesteśmy socjalizmu, im demokracji jest mniej, tym bardziej się od socjalizmu oddalamy. Jest to może ujęcie zbyt lapidarne, ale chyba prawdziwe.

Jeśli więc będziemy patrzyli na źródła kryzysu społecznego i politycznego roku 1980 w sposób dialektyczny, to nie będzie nam potrzebny żaden **„nowy ustrój — mandatalizm"**. Rozumiem autorów „MANIFESTU KOMUNISTÓW", którzy dla pełniejszego wyłożenia swoich racji i swojej analizy sprzeczności jakie się nam przerodziły w konflikt, posłużyli się takiego rodzaju konstrukcją myślową — mandatalizm. Boję się jednak, że może ona w istocie więcej przeszkodzić niż pomóc, dlatego proponuję ją odrzucić Tym bardziej, że autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" sami proponują taki wniosek za zakończenie części pierwszej swego opracowania:

„Uważamy, że pozorny paradoks sytuacji politycznej w Polsce, gdzie ludzie pracy — formalna władza — formalni właściciele środków produkcji — występują przeciw władzy, a więc przeciw sobie — może być rozwiązany poprzez przywrócenie socjalizmu. Tylko socjalizm warunkiem wyjścia z kryzysu! Tylko socjalizm gwarancją ludowładztwa!"

Co do tego nie ma wątpliwości.

Jeśli bowiem rozwijać się będzie socjalistyczny system rządzenia i zarządzania, rozwijać się będzie nieskrępowanie samorządność robotnicza i wiejska, rozwijać się będą społeczne formy kontroli, powstaną wtedy warunki do tego, aby można było dostrzegać rodzące się sprzeczności i szybko im zapobiegać. Trzeba bowiem pamiętać, że tak zwany realny socjalizm rozwija się w krajach, które nie należą do najbogatszych w Europie pod względem produkcji dóbr materialnych. Dlatego w Polsce system ich dystrybucji rodzi tak ostre konflikty. W warunkach społecznej sprawiedliwości, którą zakłada i tworzy socjalizm niebywale ostro rysuje się każdy przykład łamania tej sprawiedliwości, każdy przykład niesprawiedliwej dystrybucji dóbr materialnych, która bierze pod uwagę nie realny wkład pracy w ich wytwarzanie, ale przywileje grupowe. I przeciw temu ludzie występują, broniąc zdecydowanie sprawiedliwości społecznej i domagając się jej.

3. Co jest nasze?

„MANIFEST KOMUNISTÓW": **„Idea komunizmu jest pojemna, powinno znaleźć się w niej miejsce dla tych, którzy pragną pracować na własne ryzyko i dla tych, którzy trud nad przekształcaniem materii w środki zaspokajania potrzeb chcą przejawiać w kolektywie... W socjalizmie jest więc miejsce dla własności indywidualnej w takim rozmiarze, w jakim występuje w danym narodzie taka potrzeba. Natomiast nie ma miejsca dla własności prywatnej... Uważamy prywatną własność za miejsce restauracji nowobogackiego stylu życia... Uważamy za konieczne zniesienie prywatnej własności, „prywatnych interesów". W ustroju socjalistycznym dopuszczalne jest istnienie własności indywidualnej, kolektywnej i państwowej... Powinno się zezwolić na prowadzenie indywidualnych warsztatów: gospodarstw rolnych, hodowlanych, ogrodniczych, zakładów usługowych, handlowych pod warunkiem, że właściciele pracują w nich sami lub z rodziną, albo zatrudnieni tworzą spółkę na zasadzie równości... Za szczególnie szkodliwe i hańbiące ideę komunizmu uważamy posiadanie prywatnej własności („interesu") przez członków partii."**

„Reprywatyzacja Polski" — jak to niektórzy ujmowali — była już ostro krytykowana w dyskusji przed VIII Zjazdem PZPR. Stąd taki ostry protest przeciwko „prywatnym interesom", bowiem — jak piszą autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" — **„praca w prywatnym zakładzie jest bardziej opłacalna"**. I stąd zaraz wniosek: **„W Polsce można się spotkać z poglądem, że prywatna własność jest lepsza od kolektywnej"**. Stąd też ostry protest przeciw własności państwowej: **„W obronie własności indywidualnej, kolektywnej stanie właściciel, jego rodzina nie poskąpi zdrowia, a nawet życia. Za własnością państwową wstawi się niewielu".**

Własność indywidualna, czy kolektywna rodzi zainteresowanie pracą, bo jej rezultaty będą tę formę własności pomnażać, a przez to następować będzie też poprawa warunków życia pracujących. Tu nie potrzebne są hasła i apele, aby ludzie lepiej pracowali, co zresztą i tak nie skutkuje. Ileż to już przegraliśmy różnych bitew w przemyśle o jakość, nowości, różnorodność. Ludzie chcą bowiem być nie tylko wykonawcami, ale też odpowiadać za to, co robią i jak robią. Chcą nie tylko przyjmować plan, ale go samemu tworzyć w oparciu o wnikliwą ocenę możliwości produkcyjnych i surowcowych. Sądzę, że te tęsknoty powinni wziąć pod uwagę projektanci reformy gospodarczej Musi ona pójść w kierunku samorządności załóg, co warunkuje ich odpowiedzialność za fabryki i ich pracę.

Jeżeli chodzi natomiast o tak ostro krytykowaną własność prywatną, to rozumiem, że chodzi tu przede wszystkim o nadmierne bogacenie się społecznym kosztem I trzeba się zgodzić, że jeśli jest coś sprzeczne ze społecznym interesem, to powinno być odpowiednio ograniczane bądź zakazywane, ale jeśli w wyniku intensywnego rozwoju „własności indywidualnej" człowiek czy rodzina dojdzie do znacznych dóbr, to trudno mieć do nich pretensje, jeśli osiągną to swoją pracą, pomysłowością, talentem. Chodzi tylko o to — tak rozumiem autorów „MANIFESTU KOMUNISTÓW" — aby nie naruszało to poczucia sprawiedliwości społecznej.

Postulat szybkiego rozliczenia tych, którzy tę sprawiedliwość naruszali, którzy korzystali z przywilejów i tą drogą bogacili się kosztem społeczeństwa, jak tych, którzy swą indolencją doprowadzili do gospodarczego kryzysu i robili wszystko, aby zakamuflować objawy rodzących się sprzeczności i konfliktów — postulat taki, powszechnie zgłaszany, musi być jak najrychlej spełniony.

4. Z czym walczyć?

„CO ROBIĆ?": **„Przejęcie wzorów działania PPS i PPR umożliwiłoby pozbycie się nieuleczalnej choroby PZPR — a głównie jej kierowniczych struktur — „sekciarstwa". Choroba ta została odziedziczona przez PZPR po „mniejszościowym" nurcie Komunistycznej Partii Polski. Objawy jej są następujące: brak zaufania do własnego narodu; nie tolerowanie żadnej**

autonomii innych związków; desygnowanie na stanowiska kierownicze osób nie tyle kompetentnych co najbardziej zaufanych i posłusznych; manipulowanie informacją; upatrywanie w każdym krytycznie myślącym wroga ustroju; paniczny lęk przed opozycją; dążenie do skupienia w swoim ręku pełni władzy i inicjatywy."

„MANIFEST KOMUNISTÓW": **„Utrwalaniu przywłaszczonej władzy służyły następujące narzędzia: — dyktatura... wykorzystywana do walki z przeciwnikami wypaczeń ustroju; — monopol na mądrość, co spowodowało zabicie inicjatywy i krytycyzmu (...) — monopol środków masowego przekazu i totalna cenzura, pozwoliło to na urabianie opinii w pożądanym przez kierownictwo kierunku... na utrzymywanie społeczeństwa w niewiedzy, przyczyniło się do wypaczenia idei komunizmu; — fikcja samorządności; — fikcja demokracji wyborów w partii; — traktowanie ludu pracującego miast i wsi jako przedmiotu, a nie podmiotu kierowania (...) — cyniczne żerowanie na uczuciach patriotycznych, altruistycznych oraz wykorzystywanie poczucia lojalności zarówno członków partii, jak i całego społeczeństwa; — obłuda w posługiwaniu się hasłami socjalistycznymi."**

Walkę z poglądami sekciarskimi w KPP podjął II Zjazd w 1924 roku. Sekciarstwo to wyrażało się między innymi brakiem skłonności, jak też niewidzeniem potrzeby współpracy z innymi partiami, w tym z PPS; nie tworzeniem jednolitego frontu klasy robotniczej. Sekciarze jednak nie ustąpili. Podjęli krytykę uchwał II Zjazdu KPRP. Sporem zajął się nawet Komintern, aprobując stanowisko sekciarskie. Dopiero IV Konferencja partii z końca 1925 roku przywróciła linię II Zjazdu KPRP. Ale, czy to do końca przełamało tendencje sekciarskie w partii. Wszystko wskazuje na to, że nie, że są one do dziś jeszcze żywe, choć nie można powiedzieć, aby nasza partia nie nawiązywała również do „większościowych" tradycji KPP. I, że dziś, tak jak wówczas aktualne są słowa Maksymiliana Horwitz-Waleckiego, napisane w początku 1926 roku:

„Trzeba, aby teraz najszersze masy proletariatu, chłopstwa i drobnomieszczaństwa poznały prawdziwe oblicze partii, aby widziały w niej awangardę w walce o swe najbardziej palące interesy..."

Wydaje mi się, że obecnie w partii toczy się walka między dwiema postawami: urzędniczymi" i „ludowymi". Terminy są oczywiście doraźnie dobrane dla określenia zjawisk, stąd mało precyzyjne. Styl „urzędniczy" — jest to po prostu tylko wykonywanie poleceń, wytycznych, instrukcji, unikanie wszelkiego ryzyka, brak jakiejkolwiek inicjatywy. I proszę nie myśleć, że taki styl, taka postawa cechuje tylko pracowników aparatu partyjnego. Nic podobnego. Są wśród nich „urzędnicy", ale są też ludzie o postawie „ludowej".

„Urzędnicy" natomiast znajdą się też wśród członków partii, grupowych, sekretarzy. Ludzi o postawie „ludowej" też można znaleźć wszędzie. Wśród pracowników aparatu partyjnego również. Są to ludzie niecierpliwi, którzy swoją niecierpliwość biorą ze stałego kontaktu z członkami partii, z organizacjami partyjnymi, z analizy otaczającej ich rzeczywistości, nie boją się ryzyka, chcą tworzyć program partii od dołu, nie czekając na wytyczne z góry, już dyskutują o tym, kiedy powinien być zwołany IX Zjazd, nie boją się błędu, bo nie boją się odpowiedzialności. Są to najwartościowsi ludzie partii. Na nich można liczyć zawsze.

Ale takie postawy nie są mile widziane przez tych, którym wygodnie jest czekać na wytyczne, którzy niczym nie ryzykują, nigdy nie popełnią błędu, bo nigdy nie wykażą inicjatywy. Ci zawsze będą górą, bo pójdą za tymi, którzy będą w przodzie. Tylko, czy na nich zawsze można liczyć?

W obu opracowaniach są też pewne propozycje zmian w stylu pracy partii. W „CO ROBIĆ?" proponuje się odejście od **„form referatowo-prezydialnych"** ku pracy merytorycznej. Proponuje się na przykład, aby zamiast ciągłego odczytywania materiałów, dostarczać je wcześniej, umożliwiając członkom organizacji partyjnych i władz wnikliwe zapoznanie się i opracowanie własnego poglądu. Myślę, że jest to propozycja ze wszech miar pozytywna i trzeba ją jak najszybciej wcielić w życie.

Autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" postulują natomiast oddzielenie funkcji partyjnych od administracyjnych i to aż do Komitetu Centralnego partii włącznie, postulują przywrócenie statutowego prawa dostępu do prasy partyjnej, gdzie każdy członek partii mógłby prezentować swoje poglądy, liberalizację cenzury i wypowiadają się przeciwko praktyce **„przenoszenia z danego stanowiska na inne równorzędne lub wyższe ludzi nieudolnych lub skompromitowanych."**

Bardzo interesujący, ale i dyskusyjny jest stosunek do religii.

„CO ROBIĆ?": **„Trzeba zerwać z pokutującym gdzieniegdzie jeszcze przesądem, że jedynym źródłem inspiracji socjalistycznej może być światopogląd ateistyczny. W marksizmie nie ateizm jest istotny, lecz humanizm, wiara w człowieka i postęp społeczny."**

„MANIFEST KOMUNISTÓW": **„Uważamy przeszły a szczególnie wczesno powojenny stosunek do panującej w kraju religii katolickiej za lekceważnie zasad dostosowywania idei rewolucji socjalistycznej do realiów życia społecznego. Uważamy to za niebywale szkodliwe doktrynerstwo. Opowiadamy się przy tym za nieskrępowaniem ludzkiej refleksji nad życiem... za istnieniem i rozwijaniem zarówno materialistycznej, jak i idealistycznej orientacji filozoficznej."**

Jeśli chodzi o tolerancję, to nie ma w tej sprawie wątpliwości. Jeśli chodzi natomiast o to, czy wiara w Boga, praktyka religijna może nie przeszkadzać w materialistycznym, dialektycznym widzeniu świata, to mam duże wątpliwości. Są to bowiem postawy sprzeczne, diametralnie różne. Ale z drugiej strony wiadomo, że w partii są również ludzie wierzący. I to jest fakt. Czy więc zostawić im te sprawy do wewnętrznego rozstrzygnięcia? Chyba tak. Ale sprawa warta jest szerszej dyskusji.

5. Co robić?

Autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" wyjście z kryzysu widzą w przywróceniu socjalizmu w Polsce. Może to dokonać tylko partia. Ale, aby tak się stało, partia musi się przeobrazić. Droga do tego wiedzie między innymi przez zmianę ordynacji wyborczej.

„MANIFEST KOMUNISTÓW": **„Uważamy, że nowa ordynacja wyborcza winna zawierać następujące zasady: — tajność, jednostopniowość i bezpośredniość, nieograniczanie liczby kandydatów, wiek kandydata do władz partyjnych nie może przekraczać 60 lat, kadencja w KZ, KD, KW, KC winna trwać 5 lat, w organizacjach partyjnych — 2,5 roku..."**

Poza tym autorzy „MANIFESTU KOMUNISTÓW" uważają, że przed przyjęciem ordynacji wyborczej trzeba przeprowadzić referendum na ten temat, że o wyborze I sekretarza powinna decydować liczba głosów, a pozostałe funkcje powinno się rozdzielać według kompetencji. Kandydatów do władz zgłasza komisja seniorów, a więc tych członków, którzy ukończyli 60 lat, są we władzach ustępujących i nie będą już ze względu na wiek kandydowali do władz. Tu się rodzi zastrzeżenie. Czy chodzi o funkcje, czy o udział we władzach partyjnych szeroko pojętych, a więc na przykład w komitecie zakładowym, wojewódzkim. Myślę, że to też jest sprawa do dyskusji. Listę kandydatów do władz zgłoszoną przez komisję seniorów można jeszcze uzupełniać. W statucie partii powinna być możliwość zgłoszenia wotum nieufności wobec I sekretarza. Funkcje w partii można piastować tylko przez dwie następujące po sobie kadencje. To znaczy — 10 lat. Czy jednak nie za długo?

Są to sprawy bardzo dyskusyjne i żywo dyskutowane. Spotkałem się na przykład z wątpliwością, czy istniejąca obecnie struktura władz partyjnych w miastach, a więc dzielnice partyjne, nie jest już przestarzała, czy nie należałoby zatem poprzestać tylko na komitetach zakładowych, powołać środowiskowe na przykład dla członków partii w handlu, oświacie, kulturze i podporządkować je bezpośrednio komitetowi wojewódzkiemu. Celem takiej zmiany jest ograniczenie aparatu partyjnego wyeliminowanie szczebla pośredniego — dzielnicy. Jest to również sprawa do dyskusji.

Nim przejdę do sprawy najbardziej dyskusyjnej, chciałbym zacytować pogląd Mieczysława Krajewskiego wyrażony na łamach „Sztandaru Młodych":

„Sądzę, że nasza partia — Polska Zjednoczona Partia Robotnicza — poszukując rozwiązań, które stworzyłyby warunki dla realizacji porozumień ze strajkującymi robotnikami, z ich własnym państwem będzie musiała się cofnąć aż do etapu demokracji ludowej. Konieczność kroku w tył spowodowana została naszymi własnymi wypaczeniami. Mimo że przez 36 lat siły socjalizmu w Polsce rosły, że ugruntowała się świadomość prosocjalistyczna we wszystkich klasach i warstwach, że podstawowe wartości socjalizmu stały się nieodłączną częścią składową myślenia i oceniania zjawisk przez ludzi pracy, przez robotników. Mimo to trzeba się będzie cofnąć. Trzeba będzie wiarygodnie powtórzyć przebytą — jak się okazało pozornie — drogę od ludowodemokratycznego do wyższych etapów socjalistycznego rozwoju naszego kraju."

Bronisław Syzdek, polemizując z M. Krajewskim na łamach „Sztandaru Młodych", przypomina między innymi, że historii nie można cofnąć. Rozwija się ona nieprzerwanie, choć może to być droga z wieloma zakrętami.

Jeśli przytoczyłem pogląd M. Krajewskiego o potrzebie cofnięcia się partii do okresu demokracji ludowej, to tylko dlatego, żeby pokazać, jak głębokie jest przekonanie o konieczności dokonania radykalnych zmian, ich nieodwracalność i konieczność poszukiwania nowych rozwiązań. Znajdują one również odbicie w „CO ROBIĆ?". Są równie dyskusyjne.

„CO ROBIĆ?": **„Proponujemy przekształcenie PZPR w nową partię — Polską Socjalistyczną Partię Robotniczą."**

Dlaczego tak? Dlatego, że byłaby to partia nawiązująca swymi tradycjami do najlepszych wartości PPR i PPS. Miałaby ta partia trzy zasadnicze cechy:

— **Polska** — bo nawiązywałaby do tradycji walk rewolucyjnych, do przeszłości narodu polskiego, do naszej kultury.

— **Socjalistyczna** — dążyłaby do zbudowania społeczeństwa socjalistycznego, umacniałaby społeczną własność środków produkcji oraz dążyłaby do wprowadzenia socjalistycznego sposobu dystrybucji dóbr materialnych, umacniałaby trwały sojusz ze Związkiem Radzieckim i krajami socjalistycznymi, popierałaby ruchy rewolucyjne i lewicowe, utrzymywałaby kontakt z innymi partiami komunistycznymi na świecie, kierowałaby się internacjonalizmem.

— **Robotnicza** — byłaby partią przodującej, rewolucyjnej klasy robotniczej oraz inteligencji i innych warstw i klas naszego społeczeństwa.

„CO ROBIĆ?": **„PSPR winna być partią masową, ale nie w takim stopniu, jak ostatnio PZPR. W naszych warunkach wystarczy, żeby na przykład co dziesiąty z 12-milionowej rzeszy pracowników gospodarki uspołecznionej był komunistą. Partia musi mieć tak starannie dobranych członków, aby stanowiła awangardę moralną narodu. W związku z tym należałoby dokonać weryfikacji szeregów partyjnych drogą wymiany legitymacji PZPR na PSPR...**

PSPR powinna bardziej działać na zasadach pracy społecznej i do niezbędnego minimum ograniczyć płatny aparat. Członkowie kierownictwa centralnego muszą faktycznie a nie tylko formalnie należeć do podstawowych organizacji partyjnych w zakładach pracy. Powinni uczestniczyć obowiązkowo we wszystkich zebraniach tych organizacji i również tam być oceniani i rozliczani ze swej działalności...

Kierownicza rola partii nie może wynikać wyłącznie z gwarancji konstytucyjnych i przymusu administracyjnego, lecz przede wszystkim z rzeczywistego autorytetu. Na dłuższą metę nie da się rządzić wbrew własnemu narodowi. Trzeba zdobyć zaufanie i poparcie — udowodnić, że jest się partią rewolucyjną..."

Zmiana nazwy partii budzi najwięcej sporów i wątpliwości. Wprawdzie w okresie dyskusji przed VIII Zjazdem ze względu na to, że minęło już 35 lat od Kongresu Zjednoczeniowego, na którym w 1948 roku powstała PZPR, niektórzy członkowie partii wysuwali wątpliwości, czy nadal należy taką nazwę partii utrzymywać, czy też zastanowić się nad jej zmianą. Były to wszakże motywy historyczne. Dziś przeważają motywy polityczne.

Niektórzy polscy komuniści uważają, że nazwa partii została przez byłe jej kierownictwo skompromitowana, że partia utraciła autorytet w społeczeństwie, utraciła zaufanie własnej klasy, której jest przecież awangardą. Jeśli tak — powiadają jedni — to trzeba partię nie tylko odrodzić, odbudować na innych zasadach, odrodzić centralizm demokratyczny w partii, ale też zmienić jej nazwę, żeby nie kojarzyła się z przeszłością, a tylko była potwierdzeniem odnowy, jaką partia przeszła.

Inni natomiast są temu zdecydowanie przeciwni. Mówią oni, że PZPR — mimo różnych błędów i wypaczeń — była i jest przewodnią siłą narodu, była sprawcą wielu narodowych sukcesów, przeobrażeń dokonanych w najnowszej historii kraju. Nie można więc zmieniać nazwy, bo byłoby to zerwanie z tradycją.

Ale — powiadają oponenci — partia jest też sprawcą kryzysu obecnie przeżywanego to jej przywódcy doprowadzili kraj na brzeg przepaści. To poderwało zaufanie do partii. Stąd zmienić trzeba jej nazwę. Nie — mówią inni — zaufanie do całej partii nie zostało zerwane. Tylko do kierownictwa. Nie ma powodu zmieniać nazwy.

Innym jeszcze nie podoba się słowo „socjalistyczna" w nazwie, bo — twierdzą — że byłoby to cofnięcie się do czasów socjaldemokracji, gdyż dziś „socjalistyczna" oznacza „socjaldemokratyczna". Vide — Francja, gdzie jest partia komunistyczna i socjalistyczna. Podobnie we Włoszech i innych krajach Europy. Ci sami uważają poza tym, że przyjęcie w nazwie „komunistyczna" byłoby za dalekim wybieganiem w przód.

Spór trwa. Sądzę, że znajdzie on swe zakończenie w obradach IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii, szybkie zwołanie którego zgodnie postulują wszyscy. Autorzy „CO ROBIĆ?" i „MANIFESTU KOMUNISTÓW" także.

W sporze o zmianę nazwy partii chodzi wszakże nie tylko o zastąpienie jednego słowa innym, chodzi o przebudowę partii, o nadanie jej nowego kształtu bardziej odpowiadającego współczesnym wymaganiom. Chodzi o takie przeobrażenie partii, aby była zdolna do budowania swoich programów od dołu, aby powstały mechanizmy regulujące kontrolę, funkcjonowanie krytyki i samokrytyki, centralizmu demokratycznego, konsultacji, aby nieustannie nie odradzał się kult jednostki, aby nie powtarzano tych samych błędów. Działanie w tym kierunku niektórzy skłonni są uważać **„za rozwalanie partii".** Autorzy listu do KZ partii w ŁZR „Fonica" na zakończenie napisali: **„Bardzo żałujemy, że nie znamy waszych materiałów w całości, ale i bez tego wiemy, o co Wam chodzi."** Nie jest to argument w dyskusji, trudnej, a przecież potrzebnej.

Autorzy „CO ROBIĆ?" i „MANIFESTU KOMUNISTÓW" zgodni są co do tego, że wybory w partii należy przeprowadzać już teraz.

„CO ROBIĆ?": **„Pilną sprawą w obecnej sytuacji jest przeprowadzenie w partii kampanii wyborczej do władz wszystkich szczebli i delegatów na Nadzwyczajny Zjazd partii. Niezwykle ważne jest, aby wybory miały w pełni demokratyczny charakter. Masy członkowskie muszą mieć całkowitą swobodę wyboru ludzi, do których mają zaufanie."**

„MANIFEST KOMUNISTÓW": **„Uważamy za konieczne w możliwie najbliższym okresie przeprowadzenie nowych wyborów do władz partyjnych w oparciu o nową ordynację wyborczą. Opowiadamy się przy tym, aby Sekretariat KC w obecnym składzie pełnił swoje funkcje bez ponownych wyborów co najmniej przez najbliższą kadencję."**

6. Kilka uwag.

Stefan Opara napisał 7 listopada 1980 roku w „Trybunie Ludu" w artykule „Obecność marksizmu":

„...obok rozwoju instytucjonalnego zaplecza naukowego, niezwykle ważny dziś wydaje się rozwój takich form działalności społecznej, które sprzyjają umocnieniu więzi, wymianie myśli wzajemnej inspiracji naukowców, twórców i działaczy kultury, uznających marksizm-leninizm za swój własny światopogląd. Kryje się w tym szansa aktywniejszego rozpoznawania i odpierania nasilających się obecnie ataków na socjalizm, mocniejszego zaznaczenia obecności marksizmu-leninizmu w życiu duchowym kraju."

Omówione powyżej materiały są taką właśnie społeczną w formie, a partyjną w treści dyskusją nad najważniejszymi sprawami partii. W poprzednim numerze „Odgłosów" w artykule pt „Dłużej już nie mogliśmy czekać" omówiłem przebieg dyskusji w KZ partii w „Fonice" właśnie nad tezami „CO ROBIĆ?" Teraz te tezy, jak i „MANIFEST KOMUNISTÓW" obszernie sprezentowałem Czytelnikowi, dając też wyraz niepokojom, dyskusjom, uwagom oraz własnym poglądom na dyskutowane tematy. Sądzę, że wzbudzą one szeroką w partii dyskusję, tak zresztą potrzebną.

Jeśli Czytelnicy uznają to za stosowne, to chętnie zapoznam się z opiniami na prezentowane powyżej sprawy nadesłanymi w listach. Omawiane w artykule sprawy będą już za kilka dni przedmiotem wspólnego posiedzenia Komisji Ideologicznej KŁ PZPR oraz Komitetu Zakładowego PZPR w ŁZR „Fonica". W dyskusji wezmą udział sekretarze komitetów dzielnicowych organizacji partyjnych, naukowcy pisarze, dziennikarze, działacze kultury. Relację z tej dyskusji postaramy się w miarę szybko przedstawić naszym Czytelnikom na łamach „Odgłosów".

Foto: P. Kaleda

dziura W MOŚCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie wtrącałem się początkowo do sprawy, wychodząc z założenia, że ktoś tam może mieć naprawdę nadzwyczajny projekt upiększenia pomnika, że kimś powodują szlachetne pobudki. Nie wtrącałem się do sprawy, mimo że mówi się teraz tyle o potrzebie oszczędzania, a remont obiektu, który, praktycznie biorąc, nie wymagał żadnego remontu, mógłby wydać się w pierwszej chwili nieprzemyślaną rozrzutnością. Na zmarłych, tych, którzy ginęli za wolność, nie należy oszczędzać. Nawet wtedy, kiedy naprawdę jest ciężko. Naród, który upiększa swoje pomniki, zasługuje na szacunek.

Nękały mnie wprawdzie obawy, że w nowej, upiększonej wersji parkowy monument może stracić na swej surowej urodzie i swym solidnym wyglądzie, że nowa, najwspanialsza nawet oprawa może okazać się mniej trwała od tej starej, sprawdzonej na przestrzeni lat. Były to oczywiście obawy na wyrost. Pomnik zrujnowano, oszpecono i pozostawiono swojemu losowi. O żadnej nowej oprawie ni widu, ni słychu. Ot, we wrześniu i październiku walały się u stóp pomnika uszkodzone i nie uszkodzone płyty z cennego marmuru. Potem, kiedy prasa codzienna uderzyła na alarm, że te zdrowe płyty ktoś kradnie pod osłoną nocy (nie wykluczone, że posłużą ku ozdobie prywatnych willi albo też, odpowiednio zaadaptowane, legną jako tablice cmentarne na świeżych mogiłach) odpowiedzialne za remont czynniki poleciły przenieść je w sąsiedztwo kortów tenisowych i ogrodzić siatką.

Ponieważ, na mój nos, siatkę tę mógłby bez trudu przeskoczyć każdy średnio wysportowany wyrostek, wszczęłem na początku listopada rozmowę z pracownikami parkowymi.

— I co? — mówię. — Przestali kraść?

— A, gdzie tam! — żachnęła się kobieta z miotłą. — Dalej kradną.

— A ci od remontu? Nie mają zamiaru pociągnąć roboty?

— Ano, widać, nie...

Podszedłem do siatki i zacząłem liczyć płyty. Naliczyłem pięćdziesiąt całych, złożonych na dwie sterty, około trzydziestu różnowymiarowych, rozrzuconych wzdłuż i wszerz ogrodzonej powierzchni oraz kilkanaście zdekompletowanych, obłupanych, przykrojonych, poćwiartkowanych.

W kilka dni później, dokładnie: w piątek, 7 listopada 1980 roku, o godzinie 11.15, ponownie miałem okazję porozmawiać z pracownikami parku — młodym mężczyzną, który zbierał na łopatę zeschnięte liście i rzucał je na platformę ciągnika oraz zaawansowaną w latach sprzątaczką.

Wskazałem ogrodzenie, pytając:

— W dalszym ciągu giną płyty, czy też wzięli się w końcu za tych złodziejaszków?

— Oj, giną, proszę pana, giną — stwierdził mężczyzna. — A tak, na dobrą sprawę, to można było przecież załadować je na jakąś ciężarówkę i przechować w pierwszym lepszym magazynie.

— Przechować? — zaprotestowałem. — Przecież potrzebne są do remontu.

— Jakiego remontu?! Panie, to jest jeden wielki skandal! — wtrąciła się sprzątaczka. — Przecież to był piękny pomnik, nim go zaczęli ulepszać w lecie, to znaczy zdzierać i niszczyć te płyty. A teraz, co? Idzie zima. Deszcze, mrozy. Nikomu nie chce się widocznie robić w taką pogodę. No to wali się wszystko w ruinę, niech pan popatrzy! Gadają o oszczędzaniu złotówek, a gubią miliony.

Zatoczyła ręką dookoła.

I rzeczywiście... Jakkolwiek nie wszystko poszło w ruinę, bo pomnik, co powtarzam po raz trzeci, zbudowany został ze szlachetnego kamienia i granitu, i tam, gdzie nie zaatakowano go kilofem czy młotem pneumatycznym, wygląda zupełnie jak nowy... z drugiej strony przecież łzy z oczu wyciska: sterty piachu, grudy tynku i ów pokruszony marmur, istne pobojowisko, przykład chamstwa, niechlujstwa oraz bezgranicznej głupoty.

Czy naprawdę nikt nie rozumie, że właśnie tu bardzo często przychodzą zagraniczni turyści? Że właśnie tu oficjalne delegacje oddają hołd poległym żołnierzom? Ciekawe, co by napisał polski reporter, gdyby stanął przed takim zdewastowanym, zrujnowanym pomnikiem gdzieś we Francji czy Niemczech. Sprawa nie rozbija się już tylko o niepotrzebne wydatki, marnowanie pieniędzy i złodziejstwo. Nabiera znaczeń głębszych. Naród szanuje pamięć przelanej krwi żołnierskiej, natomiast ktoś nieodpowiedzialny stwarza w tej kwestii zupełnie inne pozory.

Próbowałem dźwignąć z ziemi kawałek drogocennego marmuru i przetaszczyć go do redakcji, ale był zbyt ciężki.

W parę godzin później, o czym dowiedziałem się z doniesień prasowych, przed pomnikiem, z wiadomej okazji, pojawiła się delegacja miejscowych władz, aby złożyć wieńce i wiązanki kwiatów.

Nikogo jakoś nie poruszył widok oszpeconych ścian. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że kwiaty, tak czy owak, zwiędną i że zawsze lepszy jest kawałek zdrowego marmuru od najwspanialszych ozdobników. Nikt nie był na tyle spostrzegawczy, aby wrócić do swego gabinetu, chwycić za telefon, wezwać do siebie kogo należy i huknąć pięścią w stół tak, aby zamiast delegacji z kwiatami udała się na teren parku brygada konserwatorska czy remontowa.

Nie czas myśleć o takich drobiazgach. Najważniejsza jest odnowa. Nawet jeśli nic nie robisz, a trąbisz w kółko o odnowie na konferencjach i zebraniach, masz szansę utrzymać się na fali. Trochę elastyki i sprytu i rwący nurt nie wyrwie ci spod tyłka ni stołka, ni tronu. Byle głośno, panowie, śmiało i odważnie!

W poniedziałek, 10 listopada, w godzinach popołudniowych znowu poszedłem do parku. Teraz, po Zaduszkach i innych ważnych uroczystościach wiedziałem już, że nie zastanę pod pomnikiem żadnej brygady. Mamy czas, dużo czasu — aż do przyszłego roku, do wyzwolenia Łodzi, albo kolejnych Zaduszek. Dużo miłych, spokojnych miesięcy przed nami.

Złodzieje też mają czas, aby zająć się resztką płyt.

Stanąłem za siatką i zacząłem je liczyć. Ubyło tych nie uszkodzonych, ułożonych jedna na drugiej, było już tylko czterdzieści, a więc dziesięć zmieniło właściciela. Tych różnowymiarowych walało się na ziemi tylko parę. Zniknęło również sporo owych pociętych i poćwiartkowanych — widocznie rabusie biorą wedle swoich sił i potrzeb, albo wedle zamówień paserów: z dwóch ułomków też złoży się przecież krzyżyk dla dziecka na jakimś podmiejskim cmentarzu.

Pójdę jeszcze do parku jutro i za miesiąc. Ale bez względu na to, co stanie się z resztką płyt, bez względu na to, czy zjawi się brygada remontowa, czy też po prostu wygwiżdże mnie na boku, sprawa rozdłubanego pomnika i tak pozostanie w mojej pamięci jako wielka granda.

Jest to wprawdzie tylko miniatura naszego ogólnonarodowego marnotrawstwa: telewizja pokazuje codziennie obiekty warte tysiąc razy tyle: rozbabrane, porzucone w trakcie budowy szkoły, baseny, wioski dziecięce, chlewnie, obory i stajnie (należące oczywiście do państwa a nie do indywidualnych rolników); wspomniane już rdzewiejące na deszczu maszyny, z których każda, gdybyś miał tylko odwagę i siłę dźwignąć ją z ziemi i zanieść na rynek, mogłaby cię uczynić milionerem na całe życie; tysiące ton nie zerwanych w porę, zmarnowanych owoców (znowu oczywiście własność PGR), miliony ton nie odebranych towarów w stoczniach, bo nagle okazuje się, że ci potentaci, co mieli je przejąć, stracili na to ochotę, zaś ci drobniejsi, mniej ważni, co chętnie by je wzięli, nie mogą sobie w żaden sposób zorganizować transportu, tymczasem nie rozładowane polskie statki stoją bezczynnie przy kejach i każdy taki dzień postoju kosztuje armatora miliony.

Litanię tę można by ciągnąć w nieskończoność. Podobnie jak w nieskończoność można ciągnąć w Polsce remonty. Z audycji radiowej, gdzie była mowa o skandalicznych polskich hotelach, na czele oczywiście z tymi pseudoluksusowymi orbisowskimi (w najwytworniejszym i najdroższym z nich, „Victorii", obcokrajowiec może dostać rano tylko jedno jajko, bo tak skalkulowane są w dewizach zestawy śniadaniowe: chcesz, cwaniaku, drugie jajko, to zamów drugi zestaw), dowiedziałem się, że remont „Polonii" trwał siedem lat.

Mówił o tym red. Szyndzielorz, postulując, że warto by również odnowić warszawski „Bristol", przy czym sam od razu złapał się za głowę na myśl, że otwarcie odnowionego hotelu miałoby prawdopodobnie miejsce w pierwszej dekadzie dwutysięcznego roku.

Zapędziłem się jednak. Wróćmy do naszego parku, czyli spraw drobnych i mniej ważnych. Jak długo może potrwać remont beztrosko rozbabranego pomnika?

Skończą w przyszłym roku, biorąc pod uwagę, iż chodzi tu jedynie o położenie na swoje miejsce kilkudziesięciu dobrze przedtem leżących płyt, czy też „pojadą" na tej inwestycji dłużej?

Wprawdzie na oko wygląda, że pierwszy lepszy, dobrze opłacony rzemiecha dałby sobie z tym radę w cztery dni, ale ... wiecie, kolego redaktorze, to trzeba zrobić planowo, pod kosztorys i plan, a nie tak na łapu-capu. Trzeba po prostu znać się na tym, kolego redaktorze...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

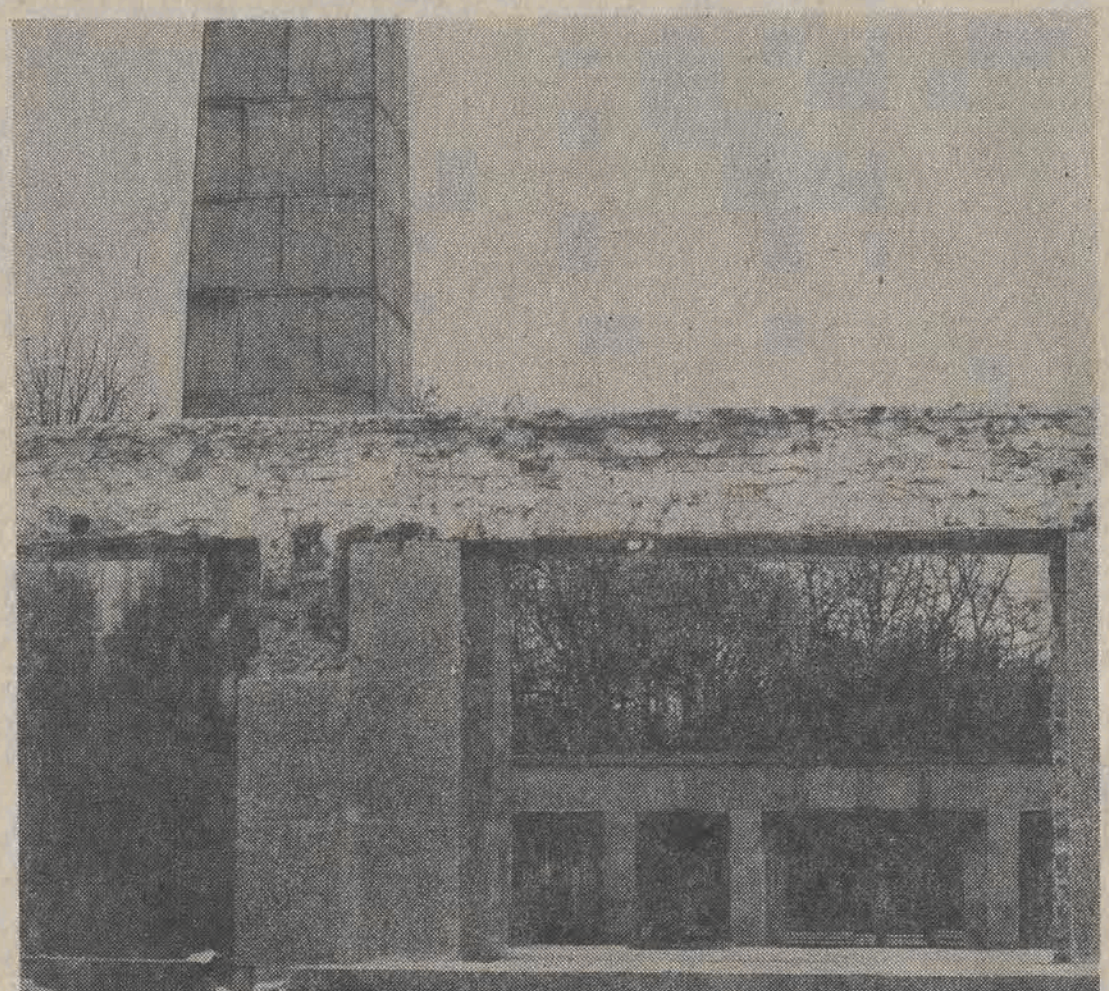

Foto: R. Łucyszyn

ROZMOWA Z BASIĄ

(NA MARGINESIE STANU OŚWIATY W POLSCE)

Znajoma moja, Basia, rozgarnięta, inteligentna dziewczyna, lat 19, radziła się mnie w sprawie wyboru zawodu. Była już telefonistką i pomocnicą w laboratorium, nie podobało się. Chciałaby uczęszczać na jakieś kursy może fryzjerstwo, może kosmetyka, a może.. Wydział Mechaniczny Politechniki?

Stąd wywodzi się przyjacielska rozmowa przybierająca charakter towarzyskiego sondażu lub egzaminu.

— Myślisz o politechnice... Jest to kierunek, w którym dużą rolę mają przedmioty matematyczne. Czy lubisz matematykę?

— Tak, przerabialiśmy nawet logarytmy.

— Do czego one służą?

— No, do liczenia, mam nawet w domu tablice logarytmiczne.

— Zgoda, ale w jakich rachunkach są one potrzebne? Może dasz przykład?

— No, tego to ja nie wiem.

— Mówi się czasem: dwie zmienne wielkości są do siebie proporcjonalne, co to oznacza?

— Oznacza to, że jeżeli jedna się zmienia, to i druga ulega zmianie. Weźmy taki przykład: długość pręta żelaznego zmienia się zależnie od

Rys. Andrzej Tylczyński

temperatury, w jakiej się znajduje: czy można powiedzieć, że te dwie wielkości (długość i temperatura) są do siebie proporcjonalne?

— Nie, nie można.

— Wiesz może, co to jest siła odśrodkowa?

— To ma coś z grawitacją.

Tabliczkę mnożenia i ułamki zna dobrze. — *Czy wiesz coś o rozbiorach Polski? Jak się to stało i kiedy?*

— Tego powiedzieć nie mogę.

— A kiedy Polska przyjęła chrześcijaństwo?

— To był taki król, nazywał się Leszczyński... (po krótkim namyśle)... *to się stało w roku 999.*

— Czy mówi ci coś słowo: Piast?

— Nie.

— Czytałaś Trylogię Sienkiewicza?

— Tak, to są trzy książki, pamiętam tytuł tylko jednej, zdaje mi się... „Ogniem i... (wahanie) *...i mieczem". Pozostałe zapomniałam.*

— Wiesz, kto to byli: Skrzetuski, Zagłoba, Wołodyjowski?

— Zagłoba to był taki gruby szlachcic, wesoły.

— A Skrzetuski?

— Także szlachcic, a Wołodyjowski to chodził z Baśką.

— Może przypominają ci coś imiona: Petroniusz, Winicjusz?

— Nie znam.

— Czytałaś powieść Reymonta „Chłopi", o co tam głównie chodzi?

— No, głównie o Jagnę i o tę jej awanturę z Boryną.

— A ile nóg ma mucha?

— Oj, ja tak nie lubiłam w szkole biologii...

— Więc ile?

— Cztery.

— Tyle, co kotek?

— Trzeba by złapać i policzyć.

— Powiedz, czy czytasz obecnie coś z tzw. literatury pięknej, np. jakąś powieść lub t.p.?

— Owszem, czytam powieść „Winnetou".

Basia przed kilkoma miesiącami uzyskała świadectwo ukończenia szkoły jedenastoletniej (tzw.szkoły średniej).

Przytoczona rozmowa jest we wszystkich szczegółach autentyczna.

BOLESŁAW KONORSKI

RZEŹ NIEWINIĄTEK

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pasze treściwe znajdowały się na wolnym rynku, na peryferiach miasta Łodzi hodowano więcej świń, niż obecnie w całym województwie miejskim. Nakaz samowystarczalności paszowej doprowadził do tego, że straciliśmy setki tysięcy ton mięsa, ponieważ hodowlę trzody zarzuciły gospodarstwa drobne, dwuzawodowe, działkowe oraz kolejarze. Kilka milionów ludzi, którzy dotąd produkowali wieprzowinę dla siebie i na sprzedaż, stanęło w kolejkach po mięso w miejskich sklepach.

Aby ratować sytuację, zaczęto uruchamiać tuczarnie przyzakładowe, które okazały się niewypałem, ponieważ sprzątaczki wlewały detergenty do zlewek ze stołówek i świnie zdychały. Budowano z rozmachem chlewnie w chłopskich gospodarstwach specjalistycznych i w sektorze państwowym, tak że osiągnęliśmy bardzo wysoki stan pogłowia, ale tylko 10 proc. tego stanu to były maciory.

Szkopuł jednak polegał na tym, że nie tylko zabrakło pasz na wolnym rynku, ale nie było ich nawet za kontraktację, 200 kg za tucznika. W woj. miejskim łódzkim rolnicy mogą otrzymać tylko 70 proc. pasz w stosunku do potrzeb, i to na raty, a za resztę otrzymują ekwiwalent pieniężny w wysokości 3 zł za kg. Chłopi są rozgoryczeni. No bo po to kazano im budować chlewnie i rozwijać hodowlę świń, żeby teraz nie było ich czym wykarmić?

A poza tym chłopom nie zgadza się rachunek ekonomiczny. Na jednego tucznika potrzeba 10 q ziemniaków, 4 q śruty, 2 q węgla i 6 miesięcy robocizny. Jak się to zliczy według aktualnych cen, to wychodzi 9 tys. zł. A na skupie rolnik dostaje za tego tucznika 5 tys. zł. Nikt nie odczuł podwyżki wrześniowej na ceny żywca.

I co się teraz dzieje? Jesienią na targowiskach pojawia się coraz więcej warchlaków i prosiąt, chłopi mają bowiem duże kłopoty ze sprzedażą warchlaków do kooperacji, czyli do SKR lub PGR, które po prostu nie chciały ich brać. Na prosięta również nie było nabywców, gdyż gospodarka uspołeczniona woli hodować „od warchlaka do tucznika", czyli od 45 kg do 120 kg, a gospodarstwa drobne i dwuzawodowe prosiąt nie kupią, bo nie mają paszy.

Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego w Łodzi, ddziałające na terenie woj. miejskiego łódzkiego, sieradzkiego i skierniewickiego, piotrkowskiego i płockiego, od dawna prowadziło tzw. skup interwencyjny, skupując m. in. prosięta o wadze od 18 do 25 kg. Były one przeznaczane dla własnych tuczarni, nadwyżki zaś kierowano do tych, którzy nie mają macior: PGR, SKR, jednostek wojskowych. Skupowano także cielęta na rzeź, ale w tym roku były one już selekcjonowane, kierowane do wypajalni, a stąd szły na całą Polskę, przy czym większość przeznaczano do dalszego chowu. Później zdecydowano, że nadwyżkę żywca wieprzowego trzeba, z braku pasz, likwidować i przeznaczać na rzeź świnie już od wagi 86 kg. I to był początek likwidacji nadwyżki.

W Warszawie zebrali się decydenci, przeanalizowali obserwacje z targowisk i doszli do wniosku, że aby ratować matki, trzeba pozbyć się dzieci; jeżeli zlikwiduje się prosięta, to przetrzyma się maciory i w przyszłym roku będzie przynajmniej materiał zarodowy na utrzymanie pogłowia. Zdecydowano, że skoro chłop nie wyzbywa się łatwo prosiąt w cenie 48 zł za kg, to trzeba podnieść cenę do 56 zł za kg. I tak też zrobiono, ogłaszając na targowiskach, że przemysł mięsny skupi wszystkie prosięta w wadze 8 — 11 kg. W pierwszych dniach chłopi sprzedawali państwu prosięta, potem jednak znaleźli się nabywcy i wyskoczyła cena konkurencyjna — 70 zł za kg.

Chłopi nie wiedzieli jednego; że te małe prosięta „kociaczki" służące raczej do zabawy niż na szynkę, zostały w całości przeznaczone na rzeź, o ile nie znajdzie się nabywca. Nowe ceny na prosięta obowiązywały już od 3 listopada, szczegółowe wytyczne znalazły się w Okr. Przeds. Przemysłu Mięsnego 10 listopada. Dzięki działaczom „Solidarności", za pośrednictwem Łódzkiej Telewizji, o fakcie dowiedziała się cała Polska, ale dopiero 19 listopada. Na drugi dzień, 20. 11., do tajemnicy dopuszczono wszystkich dziennikarzy, organizując konferencję prasową. W tym samym dniu problem ów zasygnalizował na łamach „Odgłosów" red. Konrad Frejdlich, poinformowany o fakcie przez „Solidarność". Ludzie byli wzburzeni i, co tu ukrywać, wrogo nastawieni do autorów takiej decyzji. Nie chodzi tu wyłącznie o względy humanitarne. Ostatecznie na karakuły zabija się małe jagnięta, u nas zabija się cielęta (co nie jest powodem do dumy), a Jugosławia specjalizuje się w hodowli prosiąt. Tylko, że te prosięta podaje się później u Maxima i Ritza. Nas na to nie stać, zwłaszcza dzisiaj. Ale czy naprawdę nie stać nas na wychowanie prosiąt? Okazało się, że nabywcy na prosięta znaleźli się, i to nie tylko na obrzeżach dużych miast, w osiedlach i miasteczkach, ale także na wsi. Gdyby ludziom posiadającym komórki i małe chlewiki dać chociaż minimalną ilość pasz, nie doszłoby do zabijania prosiąt. Przy okazji warto dodać, że gdy rolnicy rankiem 20. XI. dowiedzieli się o podwyżce cen skupu, zaczęli zjeżdżać z targowisk do domów.

Tego samego dnia dowiedziałem się, że prosięta mogą nabywać pracownicy przemysłu rolno-spożywczego. Jednakże wszyscy, społeczeństwo i dziennikarze, dowiedzieli się o fakcie przynajmniej o dwa tygodnie za późno. Bez rozeznania faktycznego stanu rzeczy zaczęto prowadzić skup interwencyjny i zarządzono „rzeź niewiniątek", a w roli Heroda wystąpił minister przemysłu spożywczego i skupu. Za słusznością decyzji może świadczyć jedynie to, że wzrost ceny na prosięta i ich wykupienie przez państwo spowodowały, iż zmalała podaż macior na spędach rzeźnych.

Okręgowe Przedsiębiorstwo Mięsnego w Łodzi przez dwa tygodnie skupiło 4.683 maleńkich prosiąt, z czego tylko 500 poszło do hodowli, a reszta pod nóż. W tym czasie w kraju, jak się szacuje, zabito 26.000 małych prosiąt. Na Wielkanoc byłoby z tego 2600 ton mięsa.

Ludzie są oburzeni, wstrząśnięci, i uważają tę operację za sabotaż polityczny. Jak zaznaczyłem, w dniu ogłoszenia podwyżki cen na żywiec, podaż małych prosiąt na targu zmalała niemal do zera i chyba skup interwencyjny przestanie mieć rację bytu. Czy nie można było tego przewidzieć? Można było i należało. Albo więc decyzję podjęli ludzie bez wyobraźni, albo z dużą wyobraźnią. A może ktoś podjął błędną decyzję, a ktoś inny zwlekał z podwyżką cen skupu?

Wątpliwości jest więcej i nie rozwiewają ich nawet wypowiedzi ministrów w Sejmie.

Foto: R. Łucyszyn

No bo tutaj organizuje się skup interwencyjny, a w PGR Niewiadów, gdzie ostatnio byłem, zamiast 800 ton żywca wołowego wyprodukuje się 600 ton, ponieważ nie można było zakupić cieląt! Obecnie ogromne ilości bydła idą na rzeź w wadze już od 300 kg. PGR musi odstawiać bukaty powyżej 500 kg, a te po 350 kg tylko w klasie A, po 39 zł za 1 kg. Okazuje się, że niektóre zakłady mają za mało żywca, ale większość po prostu nie może nadążyć z przerabianiem. W PGR stoją byki po 600 kg i świnie po 150 kg, marzną, blokują miejsca, na które nie można wprowadzić młodych zwierząt; pożerają masę paszy i nie przybierają na wadze. Z Niewiadowa miano odebrać 230 bukatów, a wzięto tylko 90. PGR nie wykonuje planu, w sklepach nie ma mięsa, rosną straty. A na granicach stoją chłodnie załadowane mięsem, zamrożone dewizy czekające na oferentów. Komu na tym zależy?

P.S. 20 listopada, w Dzienniku Telewizyjnym podano do wiadomości publicznej, że skup interwencyjny prowadzi się w Polsce dość często, o czym obywatele, rzecz jasna, dotąd nie wiedzieli. Jest to informacja połowiczna, omijająca meritum sprawy i trochę mijająca się z prawdą. Otóż skup interwencyjny maleńkich prosiąt, o wadze 8—11 kg, przeprowadzono tylko raz, i to bardzo dawno, bo w latach pięćdziesiątych.

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

Pan Prezydent
Józef Niewiadomski
w miejscu
(do wiadomości redakcji „Odgłosów")

„PIĘCIOKĄT"

W związku z nabierającą rozgłosu sprawą „Czworokąta", sztuki autora Redlińskiego, zespół teatru uważa za swój obowiązek przedstawić pogląd załogi na zasadniczy aspekt sprawy jak i sposób przedstawienia naszego teatru w prasie łódzkiej.

Dnia 2.09. 80 r., w czasie swego wystąpienia na spotkaniu inaugurującym nowy sezon teatralny kol. Szargan poruszył bardzo istotne sprawy teatru, zyskując tym samym uznanie i poparcie całego zespołu, mającego jednak świadomość, iż ostrość wystąpienia kol. Szargana podyktowana jest osobistym zaangażowaniem w sprawie niesłusznie nałożonych nagan na zespół „Czworokąta".

Niestety, z upływem czasu i kolejnymi poczynaniami podejmowanymi przez kol. Szargana okazało się, że problemy żywotne dla teatru było tylko pretekstem załatwiania sprawy czysto osobistych porachunków z dyrekcją teatru.

Sądzimy, że warto kilka słów powiedzieć publicznie, skoro sprawa teatru nabrała charakteru publicznego, lecz nie takiego, jakiego zespół miałby prawo oczekiwać.

Nie mamy zamiaru bronić dyrekcji, potrafi zrobić to sama. Bronimy tutaj sensu swego istnienia i szkoda, że w okresie tak potrzebnej, pożytecznej, wręcz niezbędnej dyskusji nad tematem jak pomóc teatrowi:

1. bez sali widowiskowej,
2. bez wyposażenia pracowni w niezbędny sprzęt
3. bez odpowiedniej aparatury akustycznej
4. bez aparatury oświetleniowej,
5. bez sprawnego transportu,

itd. itp. — bez...

plenia się obyczaje magla, donosu, insynuacji i zawiłych osobistych rozrachunków!!!

CZY PLACÓWKA TEATRALNA O PROFILU MŁODZIEŻOWYM JEST ŁODZI NIEPOTRZEBNA!!!

Mamy prośbę do wszystkich czynników i instytucji zaangażowanych przez kol. Szargana do sprawy, która, niestety, miała miejsce w naszym teatrze, lecz została już dawno załatwiona o wzięcie udziału w dyskusji rozpoczętej przez „Sztandar Młodych", ta naprawdę może być pomocna w rozwiązywaniu naszych problemów.

Zapraszamy na rozmowę wszystkich, którym ważne jest istnienia naszego teatru i chcieliby nam pomóc.

U nas nie istnieje problem „Pięciokąta", lecz problem, jak pracować, w jakich warunkach by ostateczny produkt, jakim jest przedstawienie, był przyjęty z uznaniem.

Mamy świadomość naszych niedostatków tak artystycznych, jak i administracyjno-organizacyjnych, wszelako nie są one w naszym odczuciu zbieżne z zarzutami zawartymi w pismach skierowanych do Pana Prezydenta, Wydziału Kultury i Sztuki, przez czwórkę naszych kolegów, którzy w żadnym wypadku nie mogą reprezentować opinii całego zespołu.

W pismach tych ich redaktorzy rozdzielają ciosy na lewo i prawo, pod wszelkimi możliwymi adresami. Tymczasem nie sposób nie stwierdzić, że od chwili objęcia kierownictwa teatru przez dyr. Pliszkiewicza dokonaliśmy ogromnego kroku naprzód. Ocena Komisji Repertuarowej, Komisji Finansowej, a także zespołu krytyków przyznających właśnie naszemu teatrowi „Srebrną Łódkę", jest tego dowodem.

Artykuły opublikowane w „Sztandarze Młodych", za które redakcji jesteśmy ogromnie wdzięczni, w sposób rzeczowy pokazują trudności, z jakimi się borykamy.

Żałujemy okromnie, że żadne z łódzkich pism w ten sposób nie przedstawiło tych trudności i nie wysunęło propozycji konkretnej pomocy, tak jak to uczyniło pismo z dalekiej stolicy.

Mówimy o tym wszystkim nie bez goryczy. Wydawało się nam i wydaje w dalszym ciągu, że właśnie nasz zespół który od trzydziestu lat pracuje w niewyobrażalnie ciężkich warunkach, ma moralne prawo oczekiwać nie napastliwości w naszej prasie, a właśnie konkretnej pomocy, tak bardzo nam dzisiaj potrzebnej.

Dlatego traktowanie sprawy „Czworokąta", jako wielkiej afery w naszym teatrze odbierane jest przez zespół jako szkodliwe i krzywdzące, ponieważ odwraca uwagę od problemów najistotniejszych, a nurtujących nasz teatr od wielu, wielu lat.

Zespół Artystyczny Teatru im. J. Tuwima.
Ilość podpisów: 36.

* * *

Doskonale rozumiem głosy oburzenia czytelników „Odgłosów" po artykule red. Konrada Frejdlicha pt. „Pięciokat" zamieszczonym w nr 39 z dnia 28. IX. 80. Solidaryzowałbym się nawet z nimi, gdyby czytelnicy nie zostali wprowadzeni w błąd przez jednostronne i tendencyjne naświetlenie sprawy, w tym również znani i szanowani literaci łódzcy, jak p. p. Jan Huszcza i Bernard Sztajnert.

Aby obraz był pełny, pragnę podać do wiadomości następujące fakty:

1. Prawdą jest, że na widowni w Krośnie, w czasie przedstawienia „Czworokątu" w dniu 29. VI. 80 znajdowały się dzieci w wieku nieodpowiednim dla tego przedstawienia, natomiast znajdowało się też parędziesiąt osób dorosłych, dla których po wyprowadzeniu dzieci, należało przedstawienie dokończyć. Gdyby doprowadzono do takiego rozwiązania, zespół „Czworokątu" otrzymałby pochwałę.

2. Prawdą, jest, że za stan ten odpowiedzialna jest organizacja widowni, jednakże niezależnie od nas, bowiem przedstawienia w Krośnie zostały sprzedane ryczałtem Wojewódzkiemu Domowi Kultury, który był uprzedzony o charakterze spektaklu, w dniu 2. VI. 80 r., zarówno przez kierownika działu organizacji widowni naszego teatru — Kazimierza Michalskiego, jak i przeze mnie. W związku z powyższym nie widzę sposobu wyciągania konsekwencji służbowych w stosunku do kierownika Działu Organizacji Widowni.

3. Prawdą, jest, że poleciłem realizatorowi sporządzić protokół z zajścia w Krośnie, nieprawdą zaś jest, że protokół miał być tendencyjny i sugerować miał złą wolę aktorów. Protokół ten (do wglądu w teatrze) zawiera pełny opis sytuacji i był mi niezbędny celem obiektywnej oceny sprawy.

4. Prawdą jest, że w naganie udzielonej aktorom „Czworokąta" dnia 7. VII. 80 r. użyłem sformułowania: „w przypadku nie uregulowania należności przez Wojewódzki Dom Kultury w Krośnie zostanie ob. obciążony(a) z tytułu ubytku wpływów...", natomiast nieprawdą jest że było to „bezsensowne", bowiem WDK w Krośnie dokonał przelewu za przedstawienie w dniu 14. VII. 80 r.

5. Prawdą jest, że dotychczas nie odpowiadałem na artykuł pt. „Czworokąt", nie dlatego jednak, abym nie widział takiej potrzeby lecz dlatego, że traktowałem w/w artykuł jako część pierwszą i niepełną, mając nadzieję, że redaktor Konrad Frejdlich będzie chciał poznać również argumenty drugiej strony. Ponieważ do tego nie doszło, uważam artykuł za tendencyjny, jednostronnie inspirowany i niezgodny z etyką dziennikarską.

W związku z tym zdecydowałem się sam uzupełnić brakujące elementy obrazu.

Właściwą postawą dziennikarską wykazali się redaktorzy „Sztandaru Młodych" — Ryszard Naleszkiewicz, Marek Truszkowski (szkoda, że z prasy centralnej), którzy wezwani do „afery", po wszechstronnym poznaniu sprawy doszli do wniosku, że nie ma tu żadnej „afery" a istnieje tylko problem borykającego się z trudnościami teatru.

Mimo ostatecznego zakończenia sprawy krośnieńskiej dnia 27. IX. 80 r. czwórka aktorów z „Czworokąta" w swym rozpędzie zażądała powołania przez prezydenta specjalnej komisji celem zbadania merytorycznej działalności teatru. Zależało mi bardzo na powołaniu takiej komisji, która być może zakończyłaby ten nieprzyjemny „proces", którego pseudoświadkowie imają się najbrudniejszych metod czego przykładem list pracownicy teatru — Wiesławy Radzkiej, w sprawie uroczystości w Maleczu. Jest to jeden z drobnych przykładów, jak daleko może prowadzić zacietrzewienie i zwyczajne rozrabiactwo.

Na koniec dodam, że prezydent Zbigniew Polit nie wyraził zgody na powołanie wyżej wzmiankowanej komisji, uznając w rozmowie ze mną, w dniu 6. XI. 80 r., opierając się na opinii nie tylko łódzkiego środowiska kulturalnego, że Teatr im. J. Tuwima uczynił w ostatnich dwu latach wyraźny postęp artystyczny.

Dyrektor teatru
MGR TADEUSZ PLISZKIEWICZ

* * *

Dyrektor Tadeusz Pliszkiewicz potrzebował aż dwóch miesięcy, żeby przygotować odpowiedź na mój artykuł, licząc widocznie na krótką pamięć czytelników. To dużo czasu, żeby ustosunkować się do przedstawionych zarzutów. W rezultacie otrzymaliśmy typowy unik i stawianie sprawy na głowie. Demagogiczne powoływanie się przy tym na „Sztandar Młodych" mija się zupełnie z elem, iż dziennikarze tej gazety (centralnej) nie zajmowali się sprawą „Czworokąta", przedstawiając problemy repertuarowe Teatru im. Tuwima w oparciu o informacje dyr. Pliszkiewicza. Natomiast w duchu „Odgłosów" wypowiedziały się także centralne „Szpilki" oraz „Głos Robotniczy". W relacjach prasowych jest więc 3:1 na korzyść pokrzywdzonych aktorów. Jeśli chodzi o mnie, całkowicie podtrzymuję zarzuty podniesione w mojej pierwszej publikacji.

KONRAD FREJDLICH

„DYSKUSJA" I „GODZINA SZCZEROŚCI"

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł pt. „Dyskusja" („Odgłosy" z dn. 12.10. 80r.), a zwłaszcza trzecią jego część, w której tow. Magdziński naraził się „górze" za postawione pytania: „za co ta Z. otrzymała Złoty Krzyż Zasługi, a już zwłaszcza za co ten stosunkowo młody jeszcze B. dostał aż Krzyż Kawalerski".

Bardzo zbliżony pod tym względem jest artykuł pt. „Godziny szczerości" („Odgłosy" z dnia 9 bm.).

Przyznawanie odznaczeń nie jest naszym wynalazkiem, czynione to jest od dawna, tylko nie w tak zmasowanej formie. Przyznawano za jakiś bohaterski wyczyn, wybitne zasługi, itp. Od chwili wyzwolenia zapanowała u nas jakaś, że się tak wyrażę: „krzyżo-orderomania". Przyznaje się odznaczenia za to, że ktoś jest sekretarzem POP, że ktoś biega z zebrania w Komitecie Miejskim na zebranie w Komitecie FJN, że jest dyrektorem zakładu przemysłowego, PGR, naczelnym zjednoczenia, że obchodzi 50, 60 rocznicę urodzin itp.

Odznaczenia przyznawane są z okazji różnych dni, których mamy w roku bez liku. Przez okrągły rok w prasie pt. „Honory dla zasłużonych" wymienia się dziesiątki nazwisk odznaczonych: złotem, srebrem, brązem i innymi odznaczeniami honorowymi.

Obserwując w telewizji akty dekoracji zasłużonych, widzi się wiele piersi tak obwieszonych odznaczeniami, że trudno znaleźć miejsce na następne. Czy tylko owe dziesiątki i setki odznaczonych budują Polskę Ludową, przyczyniając się do jej rozwoju, dobrobytu, sławy, itp? Co robią dziesiątki i setki tysięcy innych: tkaczy prządek, nauczycieli inżynierów, górników, hutników itd? Zapewne zjadają owoce pracy owych „zasłużonych"?

Przed dwoma laty czytałem w warszawskim „Słowie Powszechnym" (z dn. 25—26. 11. 1978), w dziale pt. „Oceny i przeceny", notatkę „Ilość i jakość w nauce" że: „W roku 1939 tuż przed wojną, mieliśmy 2460 pracowników naukowych: profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, docentów, adiunktów, itd. W tej chwili mamy około 76 tysięcy".

Ilość szybko rośnie, gdyż każdorazowe wręczanie aktów nominacyjnych liczy dziesiątki osób i więcej.

Byłoby zapewne krzywdzące kwestionowanie wszystkich przyznawanych odznaczeń. W każdej grupie przedstawionych do odznaczenia są ludzie zasługujący na to w całej pełni, ale do wyliczenia ich wystarczyłyby palce jednej ręki.

Przyznawajmy odznaczenia, wręczajmy nominacje, awanse, itp., ale z dużym umiarem i naprawdę zasłużonym, a nie zgrai „szerokich pleców", znajomości i „po uważaniu".

Z poważaniem
K. G.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Kto tu wpuścił dziennikarzy?

JESTEM
PRACOWNIA REPORTAŻU

Dalszy ciąg ze str. 1

wał sprawę. Słuchając relacji, zorientowałem się, że jest to coś ważnego. Zapytałem Rakowskiego, czy jechać. „Jedź, powiedział".

— Gdyby dostał pan odpowiedź odmowną, czy też by pan pojechał?

W.G.: — Oczywiście... dla przyzwoitości. W redakcji „Polityki" byłem pracownikiem półetatowym, nie podlegałem żadnemu kierownikowi.

— Pojechał pan do Gdańska sam?

W.G.: — We wtorek rano zacząłem zbierać ekipę. Chciałem, żeby pojechała ze mną Marta Wesołowska.

— Dlaczego Marta?

W.G.: — Wesołowska jest wyjątkowo sprawną i szybką reporterką. Ale na Martę nie wyraził zgody naczelny. Uznał, że ona się zbyt emocjonuje. A tam powinni jechać ludzie o trzeźwej głowie i chłodnym spojrzeniu.

— Co naczelny myśli, jak mówi, że Marta zbyt się emocjonuje?

W.G.: — To znaczy, że ona po przyjeździe na miejsce natychmiast przestanie pełnić rolę dziennikarki. Zapisze się do MKS i zacznie brać udział w ruchu strajkowym. To jest ten temperament. Ostatecznie pojechałem do Gdańska z Ernestem Skalskim i Jackiem Poprzeczko.

— Na ile dni chciał pan jechać?

W.G.: — Nikt nie wiedział jak to długo potrwa. W Gdańsku byłem od 19 sierpnia, potem skoczyłem na krótko do Szczecina, następnie na dwa dni wróciłem do Warszawy i znów pojechałem do Gdańska. Tym razem już z Lechem Stefańskim. Zostaliśmy w Gdańsku do końca.

— Co pan zabrał ze sobą w tę podróż?

W.G.: — To, co zawsze: neseser, szczotkę do zębów, maszynkę do golenia, koszulę na zmianę. W Gdańsku musiałem zresztą kupić dodatkową.

— Wziął pan aparat fotograficzny, magnetofon?

W.G.: — Aparat — nie. Bardzo rzadko robię zdjęcia. Przeszkadza mi to w pracy reportera. Rozprasza uwagę. Z magnetofonem pracuję bardzo rzadko. Ale do Gdańska zabrałem stary, japoński „Standard". Zaraz na początku jednak kompletnie mi się zepsuł.

— Od razu z Warszawy pojechał pan do Gdańska?

W.G.: — Nie, najpierw do Elbląga.

— Jak wyglądało miasto?

W.G.: — Zupełnie jak wymarłe. Ciemne, puste. Czuliśmy przez skórę, że coś się dzieje. Mieliśmy informacje z Warszawy, że strajkuje 25 zakładów, w tym „Zamech".

— Miał pan więcej informacji z Warszawy?

W.G.: — Nie. Prawdę mówiąc, nikt w Warszawie nie wiedział wtedy, co się tak naprawdę dzieje.

— Jak poruszaliście się w ciemnym mieście?

W.G.: — Pojechaliśmy najpierw do Komitetu Wojewódzkiego partii.

— Dlaczego nie prosto do „Zamechu"?

W.G.: — Nie znaliśmy tego miasta.

— „Zamech" łatwiej przecież znaleźć, niż komitet.

W.G.: — Możliwe, ale pojechaliśmy do KW.

— Zgodnie z obowiązującym schematem?

W.G.: — Możliwe, że ta tradycja na nas ciążyła. W każdym bądź razie wylądowaliśmy w komitecie, u I sekretarza, który urzędował ze swoim sztabem operacyjnym. Wchodzimy. Witają nas bardzo wylewnie: „Kawki się towarzysze napiją? Co słychać w Warszawie?" Jak już podano tę kawę i wymieniliśmy komplementy, powiedziałem w końcu, że przyjechaliśmy, żeby się zorientować w sytuacji strajkowej. „Nie powiemy wam ani jednego słowa — powiedział sekretarz Antoni Połowniak. — Nie mamy jeszcze oceny." Zupełnie nas zatkało w tym momencie. „W takim razie — mówię — nasza wizyta jest bezprzedmiotowa. Poprzestaniemy na informacjach, które mamy". — „A jakie macie?" — „Że strajkuje 25 zakładów, w tym „Zamech". — „Nieprawda, w „Zamechu" stoją tylko dwa oddziały".

W tym momencie sekretarz zorientował się, że jednak udzielił nam informacji. Potoczyła się rozmowa, podczas której sporo się dowiedzieliśmy. Powiedziałem w którymś momencie, że jutro chcemy pojechać do zakładów. „Nie, towarzysze, nie będziecie nigdzie chodzić. Wydaliśmy zakaz wstępu prasie, żeby nie zaostrzać sytuacji".

Była już późna pora, na nocleg zawieziono nas do willi.

— Jak ta willa wyglądała?

W.G.: — To była komfortowa willa: dywany, obrazy, bufet, lodówka z kilkoma rodzajami napojów chłodzących. Taka „rządówka" na skalę wojewódzką.

— Był pan kiedyś w takiej „rządówce".

W.G.: — Nie, nigdy jeszcze nie byłem. Śmieszyła nas sama sytuacja. Jechaliśmy przecież robić reportaż o buncie klasy robotniczej, a pierwsze, co nas spotkało, to nocleg w luksusowym domu KW. Jeszcze jeden paradoks. Rano stwierdziliśmy, że w garażu willi siedziało dwóch milicjantów. Na wszelki wypadek.

— Co się jeszcze ważnego wydarzyło w Elblągu?

W.G.: — Rano, z towarzyszem z KW objechaliśmy miasto. Między innymi trafiliśmy do fabryki domów. Trwał tam strajk okupacyjny. Przed bramą stały grupy robotników i był to jedyny przypadek, kiedy widziałem ludzi uzbrojonych w pały. Poleciały też za nami wiązanki.

— Jakie?

W.G.: — Pani wybaczy: „Wy, w dupę jebani. Szpiedzy z Warszawy, po co tu przyjeżdżacie?"

— Nie wchodzili panowie do żadnego zakładu?

W.G.: — Nie. Był wyraźny zakaz.

— Nie miał pan jednak ochoty złamać zakazu?

W.G.: — Mieliśmy, ale ostrzegano nas, że pociągnie to za sobą ingerencję służby bezpieczeństwa.

— Wróćmy do Gdańska.

W.G.: — Droga przebiegała zupełnie spokojnie. Spotkaliśmy jedynie kilka patroli milicyjnych, ale nie zatrzymano nas. Zajechaliśmy prosto pod stocznię. Pod Drugą Bramę.

— Jak pan wszedł do środka?

W.G.: — Pokazując legitymację prasową. Każdego by wtedy wpuścili. W środku było niewielu dziennikarzy, był Adam Orchowski z „Czasu", Strumph z „Trybuny Ludu", byli dziennikarze z Wybrzeża. Może się mylę, ale nie widziałem nikogo więcej. Najpierw dziennikarzy wpuszczano chętnie, potem były już przeszkody ściśle techniczne. Później tylu się nas zjechało, że zabrakło miejsca na sali obrad. Można było przy tym zaobserwować, jak postępował proces biurokratyzacji strajku. Najpierw dawano nam przepustki na świstku papieru. Potem pojawiły się drukowane, kartonowe, jedna i druga pieczęć. A panienki, które siedziały za okienkiem, nazwijmy je „urzędniczki strajku", były coraz ładniej ubrane, coraz bardziej dystyngowane, coraz bardziej zarozumiałe.

— Z kim pan najpierw rozmawiał?

W.G.: — Kiedy wszedłem pierwszy raz do stoczni, nie znałem ani historii, ani person, wiedziałem tylko, że jest strajk. Dopiero po paru wstępnych rozmowach zorientowałem się, kto to są Wałęsa, Lis, Walentynowicz. Po prostu, podchodziło się do każdego i gadało. Nie było żadnego rygoru, żadnej procedury.

W Szczecinie natomiast — już zupełnie inaczej. Wpuszczono nas dopiero po 4 godzinach czekania. Byliśmy pierwszymi dziennikarzami. Patrzono podejrzliwie. Otaczało nas kilkuset robotników, którzy dokładnie obserwowali, co robimy i jakie zadajemy pytania. W pewnym momencie zrobiło się nieprzyjemnie i groźnie. Jeden z robotników powiedział, żeby żadnych partyjnych nie przyjmować do nowych związków zawodowych. Wtedy ja go bardzo spokojnie zapytałem, czy jest to jego prywatne zdanie, czy MKS. Wystarczyło, aby wytworzyła się bardzo wroga, gniewna atmosfera. Ktoś krzyknął: „Kto tu wpuścił dziennikarzy? Odebrać im taśmy!" Od razu czterech chłopaków podbiegło, żeby nam odebrać magnetofon. Wtedy powiedziałem ostro, że jesteśmy tu za zgodą przewodniczącego Komitetu Strajkowego. Od razu zresztą znalazł się Jurczyk i wszystko wyjaśnił.

W Gdańsku mieliśmy trochę lepiej. Robotnicy mówili, że wszyscy dziennikarze to skurwysyny, a ci z „Polityki" to skurwysynki.

— 25 sierpnia dziennikarze polscy podpisali list-protest do władz. Czy mógłby pan opowiedzieć, jak to było?

W.G.: — Inicjatorem akcji był kolega, który nie cieszył się dobrą sławą, bo stanowił jeden z filarów radiowej „jedynki". Ale to on właśnie zaczął zbierać podpisy pod listem protestacyjnym. Protestowaliśmy przeciwko blokadzie informacji, przeciwko przerwaniu łączności telefonicznej z Gdańskiem i fałszowaniu tego co się dzieje przez prasę. Było wiele zastrzeżeń co do samego tekstu: to znaczy, czy to ma być tekst zarazem popierający strajk, czy tylko przeciwko blokadzie. Czy mamy podpisywać się z podaniem redakcji, czy bez podania. Po kilkugodzinnych dyskusjach wszyscy podpisali. Przesłaliśmy list do władz stowarzyszenia, do Komisji Rządowej, do Wydziału Pracy KC i do MKS. Wszyscy podpisali z tzw. zasadą embarga, to znaczy, że do MKS można dostarczyć list dopiero na drugi dzień. Do wiadomości, a nie jako do adresata. Jest to istotna różnica z punktu widzenia prawa. Rzecz jasna, tej samej nocy „Wolna Europa" podała, jeszcze nie znając tekstu, że buntują się dziennikarze w tym „Trybuny Ludu" i „Polityki".

Na drugi dzień kilka osób wycofało swoje nazwiska z listu do MKS. Zrobili to koledzy z „Trybuny Ludu" i z gazet Wybrzeża.

— Co szczególnie utkwiło panu w pamięci z pobytu w stoczni?

W.G.: — Była taka msza, kiedy ksiądz intonował wyznanie wiary, a jednocześnie został włączony megafon przez który nadawano komunikaty. Wyglądało to mniej więcej tak: „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego..." „Ostrów Wielkopolski jest z wami..." „Stworzyciela nieba i ziemi..." „Złożyliśmy na wasze konto 80 tysięcy 315 złotych..." „i Chrystusa, Syna Jego Jedynego..."

Jak to się opowiada, to jest groteska, ale jak się tam było, to wcale nie była groteska. To było coś przejmującego.

— Zauważyłam przed chwilą, że spłynęła panu z czoła strużka potu. Czy to dlatego, że jest tu gorąco, czy też może pan to jeszcze przeżywa?

W.G.: — Chyba przeżywa się to ciągle na nowo.

— Na ile pan był obserwatorem, a na ile uczestnikiem wydarzeń?

W.G.: — Nie można było być tylko chłodnym obserwatorem. Towarzyszyło mi codziennie poczucie dziania się historii. Poczucie obecności w miejscu i w czasie, które są niesłychanie ważne.

— Jest pan wtedy podniecony?

W.G.: — Tak, oczywiście. Można wtedy nie spać, nie czuje się zmęczenia... Jest to absolutny haszysz. I to jedyne, co można powiedzieć.

— W którym momencie pobytu w stoczni poczuł pan solidarność ze strajkującymi?

W.G.: — Już w pierwszym dniu. Tak samo solidaryzowałem się z tym, co na Kubie zrobił Fidel Castro, z tym, co zrobili Irańczycy przeciwko szachowi i z tym, co stało się w Nikaragui. I to jest mój główny kanon ideowo-polityczny. Zawsze solidaryzuję się z ruchem masowym. Z walczącymi w słusznej sprawie.

— A jak reagowali inni dziennikarze?

W.G.: — O wszystkich trudno mi mówić, ale opowiem o Januszu Głowackim. Jest to człowiek niebywale dowcipny, zawsze na luzie, zawsze „na niby", nigdy na serio. Ot! taki sam w życiu, jak w swoich felietonach i opowiadaniach. Mówi żartem, sceptycznie, z ironią i z dystansem. Otóż ten pan wchodzi pewnego dnia na teren stoczni. Opalony dżentelmen w modnej kurteczce. Pełny szpan. Gdzieś tu, na Wybrzeżu, spędzał urlop. Dochodzi do nas. Stałem z Ryśkiem Kapuścińskim i chyba z Adamieckim. „No, co tam słychać, chłopcy, strajkujecie podobno?" W tym momencie była to dla niego jeszcze pełna zabawa. Minęło pół godziny i Głowacki wrócił z sali, gdzie siedzieli delegaci. Jak go znam od piętnastu lat, to po raz pierwszy przemówił do mnie głosem serio. Mówił z patosem, o co nigdy bym go nie podejrzewał. Po dwóch godzinach trzymał się za głowę i powtarzał: „Pałac Zimowy! Rewolucja!"

— Czy pamięta pan ballady, które narodziły się w stoczni?

W.G.: — Było ich wiele, ale jedna naprawdę zrobiła na mnie wrażenie: „Piosenka dla córeczki", tak to się chyba nazywało. Przez swoją prostotę, a zarazem adekwatność do sytuacji. Cholerna prawda była w tej balladzie.

— Przyjechał pan z Gdańska do redakcji w Warszawie, i co?

W.G.: — Od razu mieliśmy kłopoty z umieszczeniem pierwszego materiału, czyli tekstu porozumienia.

— A odgłosy po waszej eskapadzie?

W.G.: — Jakie odgłosy?! Żadnych nie było. Przyjechaliśmy w poniedziałek i było normalne kolegium, na którym nie było czasu opowiadać o tym, co widzieliśmy.

— Ile pan dostał za reportaż z Gdańska?

W.G.: — Chyba 800 złotych, nie pamiętam.

— Napisał pan książkę o Gdańsku. Jak się ona narodziła?

W.G.: — To był przypadek. Otrzymałem propozycję z wydawnictwa „Książka i Wiedza". A ponieważ lubię pisać książki-błyskawice, powiedziałem od razu: tak. Ale zastrzegłem, że razem z Leszkiem Stefańskim.

— Dlaczego właśnie z nim?

W.G.: — Ponieważ blisko współpracowaliśmy w Gdańsku i świetnie się uzupełniamy. Ja ogarniałem całość, on specjalizował się w szczegółach.

— W jakim czasie panowie napisali tę książkę?

W.G.: — W trzy tygodnie. Równie szybko powstały inne moje książki, takie, jak: „Rewolucja w imię Allaha" i „Rewolucja w imię Augusta Sandino". Ta z Gdańska miała mieć tytuł „Rewolucja w imię godności", ale potem zrezygnowaliśmy z niego.

— Jaki będzie ostateczny tytuł?

W.G.: — Bardzo prosty: „Gdańsk. Sierpień 80".

— Słyszeliśmy, że ma pan kłopoty z wydaniem tej książki.

W.G.: — To prawda. Była zatrzymana ze względu na to, że nie wiedziano, czy jest słuszna czy nie. Od dzisiejszego dnia, tj. od zarejestrowania statutu „Solidarności" bez zmian w statucie, istnieją znacznie większe szanse, że się ukaże. To znaczy, iż uznają, że jest słuszna.

— Prosimy o story na pointę?

W.G.: — Najdziwniejsza i najbardziej przejmująca na swój sposób historia rozegrała się po strajku. Było to tak. W niedzielę, 31 sierpnia, zostało podpisane porozumienie. Od godziny 17 nie ma już strajku. Ludzie ubrali się i wyszli do domów. Wielka sala delegatów jest pusta. Ale Stefański i ja siedzimy w prezydium. Siedzimy i czekamy na dokument, na końcowe porozumienie, które wystukuje dla nas maszynistka. Koło niej kręci się kilku chłopców z wydawnictwa Nova. Sprawę naszego dokumentu załatwia przystojny chłopak, z zawodu stolarz, tak oczytany w literaturze światowej, jak my wszyscy razem wzięci do kupy. Intelektualista. Nazywa się Krzysztof Wyszkowski. I on nam mówi: „Słuchajcie, panowie. Podwieźcie mnie do Oliwy, do domu, tam się umówiłem z Ryśkiem Kapuścińskim." On bierze grube walizy z „bibułą". Wsiadamy w samochód i jedziemy. W tym momencie sytuacja robi się dla nas, to znaczy dla Stefańskiego i dla mnie, trochę dziwna. W końcu jesteśmy niejako po drugiej stronie barygady, a przynajmniej byliśmy jeszcze przed dwiema godzinami. My, z oficjalnego pisma „Polityka", które w końcu jest pismem KC PZPR, a on jest przedstawicielem nielegalnego wydawnictwa Nova. Mamy pojechać do jego domu, który oczywiście jest pod obserwacją SB i gdzie czeka na niego Rysio Kapuściński. Rozchodzimy się w absolutnym przekonaniu, że jest to ten szczęśliwy moment, kiedy ludzie, którzy stali formalnie przynajmniej po dwóch stronach barykady, a faktycznie, w istocie rzeczy dążą do tego samego, mają może tę jedyną, bardzo krótką okazję, aby być ze sobą w przyjacielskich stosunkach.

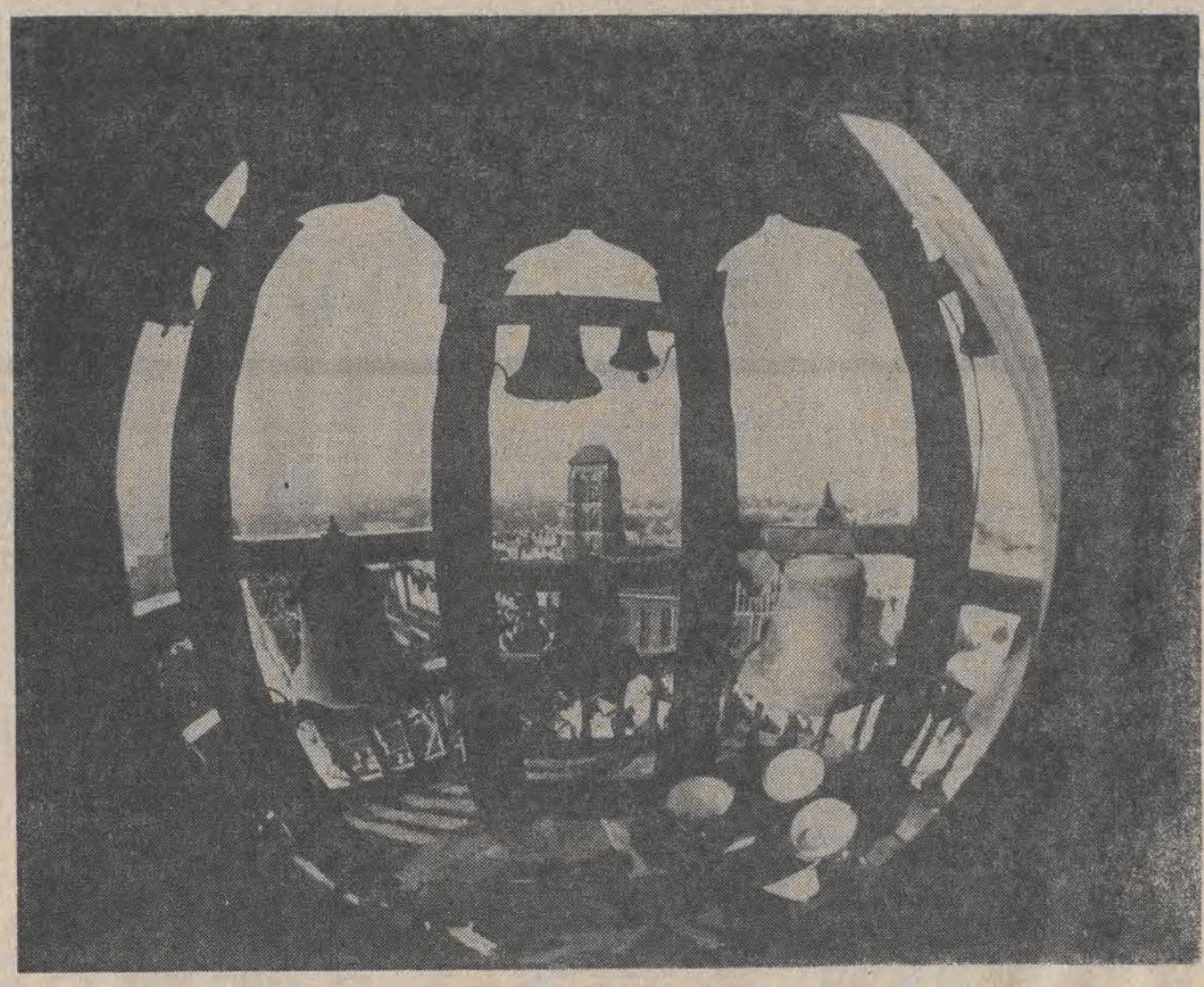

Foto: Ż. Grabowiecki, B. Łopieński

Do druku przygotowali: MAŁGORZATA GOLICKA, MAREK MILLER, PAWEŁ TOMASZEWSKI.

Rozmowę przeprowadzili: członkowie Pracowni Reportażu „JESTEM": Tomasz Domański, Małgorzata Golicka, Jolanta Kwapisiewicz, Marek Miller, Gustaw Romanowski, Paweł Tomaszewski i Zofia Turowska.

Emilia Plater

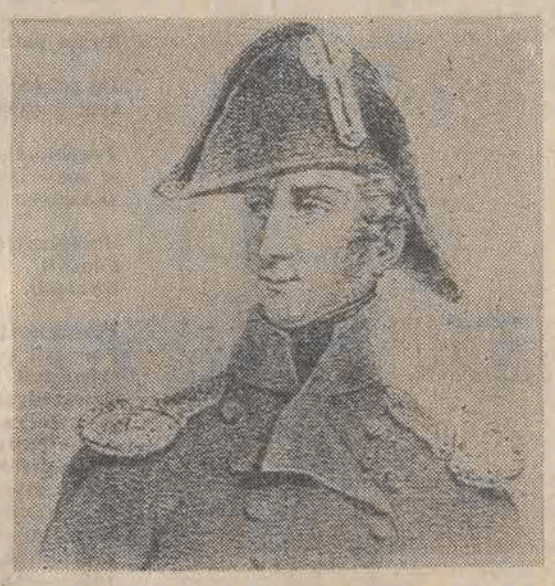

Piotr Wysocki

Generał Józef Sowiński

Józef Dwernicki

DLACZEGO ① MUSIAŁO WYBUCHNĄĆ?

Dalszy ciąg ze str. 1

Zakładając, że badacz nie myli się w ocenie świadomości organizatorów powstania, to rozgrzeszenie tych politycznych ślepców z decyzji podjęcia walki stanowi opisany i skomentowany wielokrotnie zespół faktów „zmuszających" do owego aktu determinacji nocą 29 listopada 1830 roku. Przyczyny wybuchu powstania rozumiane właśnie jako splot konkretnych faktów nie antagonizują historyków. Wiadomo, że do tych przyczyn należy zaliczyć sytuację polityczną w Europie po zrywach niepodległościowych w Hiszpanii, Neapolu i Portugalii, zmianę kursu *Aleksandra I* po zjeździe w Opawie oraz — ostatecznie — wybuch w Belgii, rewolucję lipcową we Francji i decyzję wymarszu wojsk polskich. A także ustawiczne gwałcenie zasad liberalnej konstytucji Królestwa Polskiego, konspiracje niepodległościowe z Towarzystwem Patriotycznym na czele, sąd sejmowy i spisek koronacyjny.

Ale powstanie musiało wybuchnąć także i dlatego, że w społeczeństwie polskim, w tej jego części, która nie była zainteresowana w utrzymaniu ogólnego „państwowego" status quo (zainteresowani kierowali się troską o prywatny stan na dzisiaj: apanaże i pozycję w hierarchii społecznej), a umiała czytać — zachodziły jednoznaczne i nieodwracalne zmiany w świadomości narodowej. Rozeznanie w owej świadomości jest żadne, a powód rozczulająco prosty: brak większego zainteresowania ze strony badaczy, czego efektem są jedynie marginalne wzmianki, wykorzystujące ponadto wyłącznie opinie czerpane z dokumentów drukowanych najczęściej z periodyków. Świadectwa te mają często stempel urzędowego przyzwolenia winny więc być traktowane tylko jako przejaw opinii „oficjalnej". Nierzadko też owe dowody wzięte z tekstów opublikowanych traktowane są dosłownie i na serio w sytuacji, kiedy wyraźnie pobłyskują oznakami dwuznaczności lub noszą znamiona taktycznego posunięcia opozycji.

Najważniejszy jest jednak, powtórzę raz jeszcze, brak prac całkowicie poświęconych próbie rekonstrukcji świadomości niepodległościowej narodu przed 1830 r. Oczywiście prace te musiałyby dokonać nie tylko krytycznej analizy dokumentów opublikowanych: „rządowych" i opozycyjnych, ale zająć się bodaj przede wszystkim piśmiennictwem nieoficjalnym, niesłychanie bogatym i zróżnicowanym. Tylko bowiem literatura nieoficjalna jest w stanie w pełni ujawnić przekonania tych sił społecznych które parły do walki narodowowyzwoleńczej i wreszcie do niej ruszyły.

Po przyjrzeniu się choćby tylko poezji powstałej w trakcie i po sądzie sejmowym oraz z powodu koronacji Mikołaja wykluczyć należy zdecydowanie tezę *Łojka*, iż organizatorzy powstania nie byli zorientowani w podziałach społecznych w kwestii odzyskania niepodległości. Jak w ogóle mogli mieszkańcy Warszawy być nieświadomi wewnątrzspołecznych podziałów po kilkuletniej demonstracji owych pęknięć w czasie długotrwałego śledztwa oraz podczas procesu działaczy Towarzystwa Patriotycznego, skor opinie formułowano wprost, a decyzje ostateczne w gronie senatorów polegały na jednoznacznym stwierdzeniu: winny — niewinny.

Nie tylko organizatorzy wybuchu, ale wręcz ta część społeczeństwa, którą, jak powiedziałem, charakteryzowało niezadowolenie ze status quo oraz umiejętność czytania (choć należy dodać tu i sporą liczbę „słuchaczy" — choćby z warszawskiej ulicy) — mieli prawo przypuszczać, *„że hasło walki niepodległościowej nie pociągnie za sobą i tych spośród generałów czy senatorów, którzy w ten czy inny sposób dali dowody swych patriotycznych intencji w ciągu ubiegłych lat czterdziestu"*. Wbrew cytowanej przed chwilą opinii *Łojka* rozpoczętej dramatycznym pytajnikiem: *„któż mógł przypuszczać"*.

Sądząc po przekonaniach ujawnionych w literaturze rękopiśmiennej, nieoficjalnej, rozeznanie w podziałach społecznych mogło powszechnie skłaniać do obaw o akces do powstania senatorów i generalicji. Decyzja w tej sytuacji jawi się nie jako przejaw politycznej ślepoty, ale jako akt tragicznej determinacji.

Dłużej już nie dało się zwlekać, okoliczności zewnętrzne oraz stan świadomości niepodległościowej doprowadziły wreszcie do wybuchu — nie tylko „z powodu", lecz i „wbrew" racjonalnym przesłankom.

Jakie były etapy narastania determinacji w społecznej opinii dotyczącej niepodległości? Można wskazać ich kilka, nie wszystie rysują się dla mnie już w tej chwili wystarczająco jasno. Rozsądniej więc skupić się na najistotniejszych, dobrze poświadczonych przez nieoficjalną, często konspiracyjną poezję niepodległościową. Okazuje się przy tym, że to, o czym nas przekonują dziesiątki całkowicie dziś zapomnianych przekazów literackich, godzi bez wyjątku w powszechne obecnie, „zasiedziałe" przekonania i sądy.

WSKRZESZENIE CZY ROZBIÓR?

Dziesięciomiesięczny (wrzesień 1814 — czerwiec 1815) zjazd w Wiedniu przedstawicieli 16 państw oraz około 200 poselstw lub delegacji europejskich ustalił porządek polityczny w Europie po epoce napoleońskiej. Po długotrwałych sporach i przetargach między zwycięskimi mocarstwami — przede wszystkim o Saksonię i Polskę — wskrzeszono Królestwo Polskie pod berłem króla Polski, cara Rosji, *Aleksandra I*. Ziemie Królestwa obejmowały tylko część terytorium szczupłego przecież Księstwa Warszawskiego. Jakąś formą rekompensaty było obdarzenie „nowego państwa" wyjątkową w Europie, liberalną konstytucją, opracowaną jeszcze w Wiedniu przez *A.J. Czartoryskiego*, ostatecznie zredagowaną przez zespół doradców *Aleksandra*, podczas pobytu cara w Warszawie, w listopadzie 1815 r.

Powstanie Królestwa Polskiego przyjęte zostało oficjalnie z ogromnym rozgłosem. Lunęła przede wszystkim rzeka wierszy drukowanych w obu gazetach warszawskich, odbijanych jednocześnie w drukach ulotnych. Ton tych utworów określają już same tytuły oraz preferencja najdostojniejszego gatunku klasycyzmu — ody: *„Oda na cześć odzyskanej narodowości"* (*K. Jaworski*), *„Polak ocucony"* (*A. Kożuchowski*), *„Święto narodowe"* (*M. Molski*), *„Oda do pokoju"* (*A. Plichta*). To tylko kilka przykładów.

Jednocześnie szeroką falą popłynęły w głąb Królestwa i dawnych ziem polskich odpisy wierszy „nieoficjalnych", trzeźwo oceniających nową sytuację polityczną i narodową. Choć nie liczby są tu najważniejsze, to jednak ze zgromadzonych przeze mnie materiałów wynika, że głosy krytycznych i zawiedzionych przeważały zdecydowanie. Wiele spośród utworów tego rodzaju jest anonimowych — ze znanych autorów na czoło wysuwa się *Antoni Gorecki*, najgłośniejszy bajkopisarz polityczny przed powstaniem, więziony przez Wielkiego Księcia u karmelitów w 1828 r. za wiersz o furmanach (sytuację tę utrwalił w cz. III „Dziadów" później szy koligat autora). Na ogromną sympatię społeczną począł zarabiać „dzielny Antoni" właśnie wierszami komentującymi decyzje Kongresu.

Stosunek *Goreckiego* objawia zarówno wybór określeń dla bohaterów bajek:

Wilcy, co się od wieków w krwi niewinnej pławią,
Ogłosili, że owcom owczarnię wystawią
(„Wilcy i brytan")

— jak i pointy utworów:

A wam co z ciekawości, rzekł wyżeł, przybędzie?
Czy Jan czy Piotr was weźmie, zawsze orać będzie.
(„Woły folwarczne")

W wierszach „jawnych", gdzie prawdy nie były już przysłonięte bajkowym alegoryzmem, wypowiadał się *Gorecki* w sposób, który musi zapewne zaszokować znawców wyłącznie opinii oficjalnej, rozpowszechnianej w komentarzach redakcyjnych i utworach okolicznościowych. Jakże „inny" jest choćby wiersz wydrukowany po raz pierwszy dopiero w powstaniu, podobno *„napisany po Kongresie Wiedeńskim pod statuą Jana III"*.

Chwała ci królu, wsławiony żelazem.
Jakbym ja z tobą chciał skamienieć razem.
Jużbym nie czuł — a teraz łzy leję,
Patrząc jak nasze prysnęły nadzieje.
Drugi raz wrogi szarpią Polskę miłą,
A naród milczy — jakby trudno było
Wyciąć najeźdźców, wywieszać wyrodków
I oswobodzić święte groby przodków.
Bracia, do broni! Czyż wam krwi nie stało?
Gdy umieramy, umierajmy z chwałą.
Przynajmniej kiedyś będzie pomnik słynął:
„Tu był lud Polski i za wolność zginął".

Wyciąć najeźdźców, wywieszać — rodzimych — wyrodków, to już konkretny apel zadziwiający w sytuacji wzniecanej urzędowo euforii po ustanowieniu Królestwa. Z drugiej jednak strony mnożyły się refleksje poświęcone konsekwencjom ustalonego porządku politycznego. Najczęściej komentowano fakt okrojenia terytorium „państwa". Najlapidarniej uczynił to autor anonimowego hasła umieszczonego w podświetlonym świecami „transparencie", podczas uroczystej, nakazanej urzędowo iluminacji miasta w dniu 20 czerwca 1815 r., w dniu proklamowania Królestwa.

Bez Gdańska, Kamieńca, Poznania, Wieliczki,
Małe Królestwo Polskie niewarte i świeczki.

Z powszechną dezaprobatą potraktowano decyzje dotyczące Krakowa. Jeden z anonimów tak rozpoczynał *„Wiersz na Rzeczpospolitą Krakowską w roku 1815"*:

Witaj, płodzie przemysłów bujnych Wellingtona
Witaj, córko Kongresu przeklęta w żywocie.
Rodzisz się, by mnie wydrzeć z dobrej matki łona,
A czymże wynadgradzasz tę stratę sierocie?
Ów wielkiego narodu ziomek, krakowianin,
Na ośmiu milach piasku dziś republikanin.

Wydawałoby się, że o ile z oburzeniem, często z rozpaczą przyjęto decyzje dotyczące obszaru Królestwa Polskiego, to z nadzieją i aprobatą komentowano nadane „państwu" postępowe prawa. Do takiego przekonania może skłaniać fakt wykrystalizowania się rychło liberalnej opozycji działającej na gruncie obrony zasad konstytucji, jako gwarancji swobód obywatelskich i rękojmi pokojowego rozwoju społecznego (dobre, rozumne prawa zgodne z prawami naturalnymi, zapewniały w myśl zasad filozofii Oświecenia prawidłowy rozwój cywilizacyjny). Ale i w tym przypadku znajomość nieoficjalnej poezji uświadamia szeroki społeczny niepokój, trzeźwy, krytyczny dystans. Nieznany autor jednej z wielu tradycyjnych „kolęd", czyli wierszy sumujących doświadczenia roku minionego, by dociec przyszłych wypadków, tak oto uogólniał powszechne odczucia:

Dobry król, świetne prawa, najlepsze chęci
Dają się dawne troski grzebać w niepamięci.
I rok nowo zaczęty pomyślnie nam wschodzi,
Lecz o skutkach przyszłości sądzić się nie godzi
Bo jeśli dobre chęci i zdrowe ustawy,
Przewrotnie tłumaczone, złe porodzą sprawy.
Jeżeli dumne pany i wyższi złodzieje.
Ci tonować, drudzy kraść nie stracą nadzieję.
Jeśli rząd polityczny idąc zwykłym torem,
Nawykniony do intryg, będzie cudotworem.
Jeśli sędzie przekupni, chciwe adwokaty,
Wieść będą nieszczęśliwych do ostatniej straty.
. . . . . .
Cały widok pomyślny zostałby przyćmiony.
Więc i ja z mą kolędą jestem przymuszony
Czekać szczęścia przyszłego pewnego widoku,
A pomyślność zostawić do przyszłego roku.

Ten głos mimo wszystko pobrzmiewa jakąś nadzieją. Częściej jednak stykamy się z jawną kpiną z rzekomych gwarancji prawnych, z potoku ustaw rozwijających konstytucję tak, by pogodzić „władzę króla z godnością narodu" — co uważane jest, w podtekście lub wprost, za niemożliwe. Niesłychanie popularny w owym czasie, dziś zapomniany autor licznych listów z wierszami krążącymi w odpisach po całej dawnej Polsce, *Józef Mieroszewski*, oficer sztabowy w kampaniach napoleońskich, wówczas adiutant *Zajączka*, ironizował w jednej z korespondencji:

Wychodzą więc z głów naszych ustawy rozliczne,
Co wy jeszcze nie znacie, zwane organiczne.
Podczciwym niepotrzebne, a łotrom fatalne,
Przepisy policyjne, prawa kryminalne,
Dążące do zamiarów, w zasadach niesprzeczne,
Jedne niby tymczasem, drugie niby wieczne,
Miarkujące by nie przejść granicy obwodu,
A godząc władzę króla z godnością narodu,
Nie spuszczać, by na chwilę, z oka dobra kraju.
Słowem — że tak wam będzie, jak tam komuś w raju.

Z tych celniejsze są: ażeby żadnego złodzieja nie wieszać wprzód nim go się nie złapie ażeby w wilię pożaru wszystkie sikawki były w pogotowiu i napełnione wodą; ażeby żadnego umarłego za świadka nie cytować; i tym podobne.

Sumaryczną ocenę sytuacji nowo powstałego Królestwa Polskiego w sposób zaskakująco lapidarny, lecz dosadny, prezentuje anonimowy autor w powszechnie odpisywanym wierszyku pt. *„Polska w r. 1815"*, powstałym później, zapewne po pierwszym sejmie w 1818 r.

Sam Król bez słuchu. (Aleksander)
Wojsko bez duchu,
Chociaż bez trwogi.
Ćwierć król bez nogi. (Zajączek)
Pół król bez głowy. (W. Książę)
Posły bez mowy.
Senat bez rady.
Rząd bez zasady.
Polska bez woli,
Gdańska i soli,
I bez Poznania,
Nisko się kłania
Nowosilcowi
I pysznie mówi:
Niech się kto śmieje,
Polska istnieje.

Wśród poetyckich prób uogólnień pojawiają się także głosy zastanawiające się nad ostatecznymi konsekwencjami ustalonego porządku rzeczy. *Erazm Komar*, poeta płodny i śmiały dziś niemal całkowicie zapomniany, komentujący wydarzenia krajowe od insurekcji do nocy listopadowej, ironizował sarkastycznie w wierszu *„Na wiadomość o Królestwie Polskim"*.

Będziem wkrótce bez chyby (rząd sam to podniecił)
Tak podobni, jak gdyby jednej matki dzieci.
I gdy jak starsi bracia już staniem się tacy,
Rzeknie wtenczas świat o nas: „oto są Polacy"
Wtenczas my wzajem rzekniem przed jego obliczem:
„Wieki Chrobrych, Zygmuntów, Batorych są niczem!
. . . . . .
Dziś dzięki przeznaczeniu, nie jak było dawniej,
Będziemy oświeceni i wolni, i sławni!
A pod berłem ogromnej mocy i opieki
I wnuki wnuków naszych tak będą na wieki!"

Wtórował mu przypomniany już *A. Gorecki* w bajce o dębie w morzu. Mimo iż sens przypowieści o mocarnym pniu, który spoczywa zbyt długo na dnie zatracił umiejętność pływania w takim stopniu, że nawet burza nie potrafi wydobyć go na powierzchnię — był całkowicie jasny, poeta kończy utwór wypowiedzią wprost formułującą opinię.

Ludy! które zbyt długo obca przemoc gniecie,
Niech was nie łudzą miłe urojenia,
Że z pierwszą burzą znów istnieć będziecie,
Że narodowość nigdy się nie zmienia
Jednakowa z tym dębem i was czeka dola,
Przeistoczy naturę półwieczna niewola.

WIESŁAW PUSZ

Litografie Villain'a

Dokończenie w numerze następnym

ADAM WAŻYK

POEMAT DLA DOROSŁYCH

(fragmenty)

1.

Kiedy wskoczyłem przez pomyłkę do innego autobusu,
ludzie siedzieli jak zwykle, wracali z pracy.
Autobus pędził ulicą nieznaną,
ulico Świętokrzyska, nie jesteś już Świętokrzyską,
gdzie twoje antykwariaty, księgarze i uczniacy?
Gdzie jesteście, umarli?
Pamięć po was ginie.

Wtedy autobus stanął
na rozkopanym placyku.
Stary grzbiet czteropiętrowej kamienicy
czekał na wyrok losu.

Wysiadłem na placyku
w robotniczej dzielnicy,
gdzie szare mury srebrzą się od wspomnień.
Ludzie śpieszyli się do domu.
Nie śmiałem ich zapytać, gdzie jestem.
Czy nie tutaj chodziłem w dzieciństwie do apteki?

Wróciłem do domu,
jak człowiek, który poszedł po lekarstwo
i wrócił po dwudziestu latach.

Żona spytała, gdzie byłeś.
Dzieci spytały, gdzie byłeś.
Milczałem spocony jak mysz.

2.

Place się wiją jak kobry,
domy się pysznią jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie.

Stoję jak słupnik bezmyślny
na placu pod kandelabrem,
chwalę, podziwiam, przeklinam
na kobrę, na abrakadabrę.

Zapuszczam się jak bohater
pod patetyczne kolumny,
co mi tam kukły Galluxa
wymalowane do trumny!

Tu młodzi chodzą na lody!
Ach, wszyscy tu bardzo młodzi,
pamięcią sięgają ruin,
dziewczyna wkrótce urodzi.

Co wrosło w kamień, zostanie:
patos pod rękę z tandetą,
tu będziesz uczył się liter,
przyszły warszawski poeto.

Kochaj to zwykłą koleją,
inne kochałem kamienie,
szare i wzniosłe prawdziwie,
w których dzwoniło wspomnienie.

Place się wiją jak kobry,
domy się pysznią jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie.

3.

„Dziś nasze niebo nie jest puste"
Z przemówienia politycznego

Był świt, słyszałem świst odrzutowców,
kosztowny bardzo, a jednak musimy...
Kiedy nie chcemy mówić wprost o ziemi,
wtedy mówimy: niebo nie jest puste.

Ludzie tu chodzą byle jak, w drelichach,
szybko się u nas kobiety starzeją...
Kiedy nie chcemy mówić wprost o ziemi,
wtedy mówimy: niebo nie jest puste.

Za oceanem w obłokach się kłębi
apokalipsa, tu przechodzień klęka...
kiedy nie chcemy mówić wprost o ziemi,
klęczący mówi: niebo nie jest puste.

Tu legion chłopców wypuszcza gołębie,
dziewczyna wiąże błękitną chustę...
Kiedy nie chcemy mówić wprost o ziemi,
wtedy mówimy: niebo nie jest puste.

7.

Nie uwierzę, mój drogi, że lew jest jagnięciem,
nie uwierzę, mój drogi, że jagnię jest lwem!
Nie uwierzę, mój drogi, w magiczne zaklęcie,
nie uwierzę w rozumy trzymane pod szkłem,
ale wierzę, że stół ma tylko cztery nogi,
ale wierzę, że piąta noga to chimera,
a kiedy się chimery zlatują, mój drogi,
wtedy człowiek powoli na serce umiera.

8.

To prawda,
kiedy miedziaki nudziarstwa
zagłuszają wielki cel wychowawczy,
kiedy sępy abstrakcji wyjadają nam mózgi,
kiedy zamyka się uczniów w podręcznikach bez okien,
kiedy redukuje się język do trzydziestu zaklęć,
kiedy gaśnie lampa wyobraźni,
kiedy dobrzy ludzie z księżyca
odmawiają nam prawa do gustu,
to prawda,
wtedy nam grozi tępota.

3.

Przybiegli, wołali:
komunista nie umiera.
Nie zdarzyło się jeszcze, aby człowiek nie umarł.
Tylko pamięć zostaje.

Im więcej wart człowiek,
tym większy po nim ból.

Przybiegli, wołali;
w socjalizmie
skaleczony palec nie boli.

Skaleczyli sobie palec.
Poczuli.
Zwątpili.

14.

Pomstowali na rutyniarzy.
Pouczyli rutyniarzy.
Oświecali rutyniarzy.
Zawstydzali rutyniarzy.
Przywoływali na pomoc literaturę,
pięcioletnią smarkulę,
którą trzeba wychowywać,
która powinna wychowywać.
— Czy rutyniarz jest wrogiem?
Rutyniarz nie jest wrogiem,
rutyniarza trzeba pouczać,
rutyniarza trzeba oświecać,
rutyniarza trzeba zawstydzać,
rutyniarza trzeba przekonać.
Trzeba wychowywać.

Zmienili ludzi w mamki.

Słyszałem mądry referat:
„Bez odpowiednio rozłożonych
budżców ekonomicznych
nie osiągniemy postępu technicznego".
Oto słowa marksisty.
Oto znajomość praw rzeczywistych,
koniec utopii.

Nie będzie powieści o rutyniarzach,
ale będą powieści o kłopotach wynalazcy,
o niepokojach, które wszystkich wzruszają.

Oto goły wiersz,
zanim obrośnie
w troski, kolory, zapachy tej ziemi.

15.

Są ludzie spracowani,
są ludzie z Nowej Huty,
którzy nigdy nie byli w teatrze,
są polskie jabłka niedostępne dla dzieci,
są dzieci wzgardzone przez występnych lekarzy,
są chłopcy zmuszani do kłamstwa,
są dziewczyny zmuszane do kłamstwa,
są stare żony wyrzucane z mieszkań przez mężów,
są przemęczeni, konający na zawał serca,
są ludzie oczernieni, opluci,
są odzierani na ulicach
przez zwykłych opryszków, dla których się szuka definicji prawnej,
są ludzie czekający na papierek,
są czekający na sprawiedliwość,
są ludzie, którzy długo czekają.

Upominamy się na ziemi
o ludzi spracowanych,
o klucze do drzwi pasujące,
o izby z oknami,
o ściany bez grzybów,
o nienawiść do papierków,
o drogi święty czas ludzki,
o bezpieczny powrót do domu,
o proste odróżnianie słowa od czynu.

Upominamy się na ziemi,
o którą nie graliśmy w kości,
o którą milion padł w bitwach,
o jasne prawdy, o zboże wolności,
o rozum płomienny,
o rozum płomienny,
upominamy się codziennie,
upominamy się Partią.

Czerwiec—lipiec 1955.

KONRAD FREJDLICH

„COŚ TY ATENOM ZROBIŁ, SOKRATESIE...?"

Adam Ważyk skończył siedemdziesiąt pięć lat.

Piękny to wiek dla poety, który przez pół stulecia czynnej działalności twórczej dowiódł, że źródło jego wyobraźni bije wciąż czystym, nieskażonym nurtem A mimo to, od prawie ćwierci wieku, o Ważyku było głucho w naszej prasie literackiej, głucho było w radiu i telewizji, nie mówiąc już o gazetach codziennych Twórca, który jako autor „Marszu I Korpusu", dostąpił tego zaszczytu, że z jego słowami na ustach wędrowali żołnierze w ogniu bitewnym znad Oki do Polski; poeta, którego wiersze w pierwszych latach nowej rzeczywistości społecznej niemal obowiązkowo recytowano na wszystkich akademiach; autor zachwycających liryków i wysublimowanych przekładów — jest dziś praktycznie nieznany szerszym kręgom czytelniczym.

Czym więc sprzeniewierzył się Adam Ważyk krytyce, że go tak na całe dziesięciolecia zapoznała? Czym naraził się wydawcom, że jego utwory nie są praktycznie wznawiane? Czym zraził do siebie animatorów życia kulturalnego, że znamy od biedy Ważyka-translatora, który wprowadził do krwiobiegu polszczyzny ody Horacjańskie, najwyższe osiągnięcia liryki francuskiej i rosyjskiej, nie znamy zaś dziś prawie wcale Ważyka przemawiającego we własnym imieniu, już to jako surrealista, już to jako trybun rewolucji?

Jak większość artystów debiutujących pod znakiem awangardy, w dwudziestoleciu międzywojennym związał się Ważyk z polską lewicą intelektualną, która programowy antytradycjonalizm wiązała z rewolucyjnymi przemianami świadomości społecznej. Łączyło się z tym utopijne na owe czasy marzenie o demokratyzacji sztuki, któremu Ważyk nie uległ może tak bez reszty, jak czołowi futuryści, ale i on był przecież czuły na łaskotanie tak pojmowanej muzy. Świadczą o tym dobitnie utwory zebrane w debiutanckim tomie „Semafory" i korespondujących z nim „Oczach i ustach". Później zresztą, rozczarowany do nośności społecznej nowej poetyki, Ważyk na długie lata zamilkł jako poeta odradzając się dopiero w gorączce wojny. Rozterki, jakie przeżywał w latach zapowiadających nadejście kataklizmu, wyraził w autobiograficznym wierszu „Szkic pamiętnika" wspominając w okopie bliskich sobie ludzi" pochowanych w sercu, jak we wspólnym grobie":

„Kłamca był między nami przebrany
za dziennikarza,
szpicel był pięknoduchem albo
poetą-cyganem,
alfons i ajent niemiecki był snobem,
nie wiedziano, kto z czego żyje,
dziesięciu sprawiedliwych ginęło w
Hiszpanii.

W tych latach mówiłem do siebie
głosem starszego brata:
ileż razy trzeba cię budzić, abyś
zbudził się w swojej epoce?

Mówiłem do siebie głosem brata
samobójcy
i zamiast pisać — pióro stawiało
kreski, znaki,
chodziło po papierze, jak sejsmograf,
aż prysło".

I rzecz charakterystyczna: kiedy runął powersalski system wartości, kiedy europejski ład zdeptany został buciorami hitlerowskiego żołdaka, kiedy miasta płonęły jak żywe pochodnie, a umierający wyszeptywali swoją skargę w knebel zimnego, jak kamień gipsu, Ważyk odnalazł siebie w chaosie czasu. Bitwa pod Lenino była nie tylko chrztem bojowym żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego była ona przecież zarazem chrztem intelektualnym polskiej lewicy, zwrotem jeszcze bardziej na lewo. Droga wiodła na zachód, w pożodze frontów, ale wiodła także do Marksa i Lenina, którymi zachłysnęli się artyści w żołnierskich szynelach. Marksistowska myśl była tą bronią, którą lewicowi intelektualiści chcieli zastąpić karabin w wyzwolonej już spod niemieckiego panowania ojczyźnie.

Czy nie z takich marzeń zrodziła się idea „Kuźnicy" wydawanej w Łodzi bezpośrednio po wojnie, aż po rok 1949, stanowiąc wyraźną cezurę w dziejach socjalistycznej kultury w Polsce? Z perspektywy czasu łatwo jest dzieciom rewolucji zarzucać uproszczenia i schematyzm, ale trzeba pamiętać, że program „Kuźnicy" był programem wojennym, że służył bitwie o radykalizację poglądów całej polskiej inteligencji. W łódzkiej „Kuźnicy" Ważyk należał do forpoczty, uprawiał nie tylko aktualną poezję polityczną, ale także eseistykę o wyraźnym zabarwieniu ideowym. Niewątpliwie, na eseistyce też zaciążyło uproszczone, czysto socjologiczne widzenie zjawisk estetycznych, ale trzeba też pamiętać, że nauki społeczne dopiero raczkowały wzbudzając podwójną nieufność: nieufność społeczeństwa i nieufność władzy. Dramat polskiej lewicy komunistycznej polegał na tym, że chciała ona przemian świadomości społecznej, jakby za szybko i za gruntownie.

Potem przyszedł wstrząs, za który niektórzy, jak choćby Tadeusz Borowski, zapłacili życiem, inni zwątpieniem i utratą wiary. Rzeczywistość drastycznie rozminęła się z marzeniem. Świat okazał się takim, jaki był, nie zaś takim, jakim w najlepszych intencjach chcieli go widzieć przedstawiciele lewicy, którzy od formuły marksistowskiej odeszli mimowiednie aż na pozycje platońskiego bytu idealnego. U Ważyka ta utrata dotychczasowej wiary stała się żarliwym aktem nowej wiary. Poprzez negację marzenia dochodzi do afirmacji rzeczywistości. Ale nie jest to już rzeczywistość układzona, z równomiernie porozkładanymi akcentami, z precyzyjnym dekalogiem wartości. Jest to rzeczywistość, której trzeba się uczyć od nowa i jakby po omacku, niekiedy boleśnie się kalecząc w tej wędrówce myśli. Daje temu najpełniejszy wyraz „Poemat dla dorosłych" opublikowany na krótko przed przełomem październikowym w „Nowej Kulturze" i krążący po kraju w maszynowych odpisach. Żaden powojenny utwór literatury polskiej nie miał takiego rezonansu społecznego, żaden tekst poetycki nie odniósł takiego sukcesu czytelniczego. Paradoksalnie ziściło się marzenie o demokratyzacji sztuki, która w sensie dosłownym trafiła pod strzechy. Ale za wiarygodność swojej wypowiedzi zapłacił Ważyk straszliwą cenę: nie jako poeta, tylko jako autor.

To od tamtej chwili krytyka mówiła o nim coraz mniej, półgębkiem i najczęściej w negatywnym kontekście. Do wyjątków należy ocena Jacka Trznadla, zawarta we wstępie do tzw. celofanowej serii poetyckiej PIW, który odważył się wznowić wybór przedwojennych i powojennych wierszy Ważyka. Napisał tam Trznadel:

„Sztuka, która jest życiem, a jednocześnie nie jest sztuką sakralną — oto o co chodzi Ważykowi. Jego poezja sprawdza się, gdy myślimy o wielkich syntezach i związkach z epoką, ale i w zwykłej, prostej lekturze. Jest jedną z najważniejszych prób poetyckich w polskiej poezji ostatniego półwiecza. Ukazuje wysiłek trudny, czasem zniechęcający i smutny, czasem chaotyczny. Wie bowiem poeta, że w sztuce prawdziwy trud nie musi pokrywać się z piękną, na pokaz produkowaną muskulaturą, za którą tak często ukrywa się cherlactwo".

Jakże dramatycznie brzmi także dziś wiersz Ważyka napisany w kwietniu 1955 i zatytułowany „Posłanie do przyjaciela", z którego przytaczam tu fragment:

„Naród pracował, a nas opadli
filozoficzni szalbierze
i po kawałku rozum nam kradli
pozostawiając przy wierze.

Szczudlarz nauczał sztuki chodzenia,
ślepi dźwigali pochodnie,
głuchy na rynku sprawdzał sumienia,
asceci płodzili zbrodnie".

Aktualność tego pamfletu wskazuje nie tylko na tragedię polskiej lewicy intelektualnej, która bezpośrednio po wojnie z dziewiczym entuzjazmem zabrała się do przebudowy rzeczywistości w naszym kraju. Jest to bowiem zarazem dramat całej współczesnej kultury polskiej.

MUZYKA

CO DALEJ DYRYGENCIE

Po raz pierwszy telewizyjny koncert z cyklu „Co dalej laureacie", prowadzony przez Henryka Czyża, odbył się z udziałem orkiestry symfonicznej FŁ. Dyrygent, znany z popularyzatorskiego cyklu „Nie taki diabeł straszny", podjął się od niedawna prowadzenia nowego programu, w którym prezentuje młodych artystów, laureatów konkursów muzycznych. Tym razem na estradzie i przed kamerami wystąpił Stefan Stałanowski, laureat Konkursu im. Wieniawskiego (1972), Konkursu Skrzypcowego im. Paganiniego w Genui, Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. J. Thibaud w Paryżu (1975) oraz konkursu przy Festiwalu Praska Wiosna (1976). Od roku 1977 jest koncertmistrzem i solistą L'Orchestre Philharmonique de Lille we Francji. Gra na skrzypcach zbudowanych przez Guadagniniego w Parmie w 1769 r.

W wykonaniu tego utalentowanego muzyka usłyszeliśmy jedno znajtrudniejszych dzieł literatury skrzypcowej — Koncert d-moll op. 47 Jana Sibeliusa. Jakkolwiek koncert należy do dzieł uznanych i cenionych, o muzyce fińskiego kompozytora krążą do dziś sprzeczne opinie. Z jednej strony pisze się o nim jako o epigonie romantyzmu, a uznanie jego twórczości przez część krytyki określa się mianem pomyłki, z drugiej zaś istnieją towarzystwa imienia Sibeliusa, skupiające ogromne rzesze wielbicieli jego talentu. Kompozytor powiedział kiedyś, że w odróżnieniu od innych twórców (a zmarł w 1957 r. nie tworząc przez ostatnie 30 lat życia), daje czysty kryształ muzyki. Coś musi w tym być, jeżeli znaczna część jego utworów cieszy się dotychczas nie słabnącym powodzeniem, że wspomnę tylko słynny Valse triste.

Koncert skrzypcowy d-moll, po przeinstrumentowaniu i rewizji partytury, miał swą właściwą premierę w 1905 r. na estradzie Filharmonii Berlińskiej. Partię solową wykonywał Karel Halir, dyrygował sam Ryszard Strauss. Henryk Czyż i Stefan Stałanowski potrafili znakomicie wczuć się w tak charakterystyczny dla Sibeliusa posępno-dramatyczny nastrój, prezentując dzieło zwarte i jednolite, pełne mrocznych barw orkiestrowych, z przekonywającą siłą wyrazu malujące melancholijny, tajemniczy urok fińskiej przyrody. Świetnie przygotowany akompaniament orkiestry o zwartym, „gęstym" brzmieniu w tutti, zarazem delikatny w eksponowaniu szczegółów instrumentacyjnych, idealnie współgrał z pełną ekspresji grą solisty.

Stefan Stałanowski, którego mocną stronę stanowi gra akordowa (środkowa kadencja I części i finał), dał się poznać jako artysta o dużej wrażliwości i muzykalności, prezentujący, poza nienaganną zresztą techniką wirtuozowską, określoną indywidualność wykonawczą, na której brak cierpi wielu świetnie wyszkolonych muzyków. Nośny ton skrzypiec w forte, poparty wyrazistą grą w pianissimo, dodał blasku I części, wymagającej od solisty dźwięcznej i silnej gry w niewygodnym niskim rejestrze. Może w Adagio di molto zabrakło mu nieco rozmachu w szerokim, romantycznym prowadzeniu kantyleny, ale „winy" należy także upatrywać w pełnej niezwykłego jak na FŁ wyrazu grze orkiestry, wybuchającej wprost w kulminacji we wspaniałym, przejmującym porywie. Na bis Stefan Stałanowski zgotował słuchaczom zaskakującą niespodziankę, o czym się będzie można niebawem przekonać obserwując program telewizyjny. Czekamy na dalsze audycje tego cyklu, które, poparte dowcipnym komentarzem Henryka Czyża oraz rozmową z solistą, znakomicie zdają egzamin zarówno na sali koncertowej jak i przed odbiornikami TV.

W pierwszej części koncertu usłyszeliśmy dwa utwory „z innej parafii". Można było oczekiwać, że dyrygent tej klasy, tak rzadko ostatnio pojawiający się na estradzie FŁ, wystąpi z czymś oryginalnym. Tymczasem usłyszeliśmy doskonale wykonane, ale niemożliwie już ograne utwory Beethovena: uwerturę „Coriolan", stanowiącą fragment muzyki do tragedii Collina oraz II Symfonię D-dur op. 36, należącą raczej do utworów lekkich, łatwych i przyjemnych, nie stawiających specjalnych problemów ani przed instrumentalistami, ani przed dyrygentem.

Miejmy nadzieję, że w przyszłości część nietelewizyjna koncertu będzie równie atrakcyjna jak ta, którą nagrywa się na magnetowid.

JACEK KRAKOWSKI

FILM

KONTRAKT

Twórczość Krzysztofa Zanussiego jest najtrafniejszym przykładem niecelowości widzenia spraw filmu poprzez to, co kinowe, a co telewizyjne. Siedemnaście zrealizowanych przezeń filmów stanowi nierozdzielną całość, w której poszczególne jej elementy uzupełniając się nawzajem, niosą treści, bez których obraz polskiego filmu ostatnich kilkunastu lat byłby bardzo ubogi. Filmy Krzysztofa Zanussiego przez całe lata zaspokajały głód tematu współczesnego w najszlachetniejszym jego wariancie, pokazywały człowieka stojącego wprawdzie wobec tematów uniwersalnych, lecz napiętnowanych szczególnymi cechami miejsca i czasu obecnego. Niepokój moralny bohaterów tych filmów był niepokojem ich współczesnych.

Zdarzało się niekiedy słyszeć głosy, iż ucieka Zanussi od spraw dnia bieżącego w sferę universum ludzkiej kondycji, że poza małymi wyjątkami, stały krąg środowiskowy ogranicza trafność spostrzeżeń i refleksji. Z perspektywy dni obecnych szczególnie widać, jak niecelne były to uwagi.

Prawem artysty jest mówić poprzez bohaterów sobie najbliższych, tych, których zna się najlepiej. Ich problemy okazały się właśnie problemami powszechnymi. Sprawy moralne stoją dziś w centrum uwagi — rozważane są w kontekstach wielkiej polityki, służby społecznej i jednostkowego życia, a sądy i oceny formułowane są bezkompromisowo. Takie jest prawo oburzenia i gniewu, które przerwało tamę pozornej zgody i milczenia. Powszechność tych uczuć jednoczy dziś gromady ludzi mówiących „my", ale wśród nich musi dojść do głosu także refleksja o tym — co „ja". Ona to wypełniała zawsze filmy Krzysztofa Zanussiego, burzyła spokój sumienia, zmuszała do wyborów i prób samookreślenia. Była to cecha, której role trudno przecenić. W latach coraz dramatyczniej odczuwanej stagnacji moralnej społeczeństwa, filmy Krzysztofa Zanussiego pełniły funkcję terapeutyczną, były, jak mało które właśnie świadectwem czasu, choć pisanych a'rebours. Ich dyskursywny charakter wyrastał ze świadomości procesów w tym społeczeństwie zachodzących.

Najnowszy film Krzysztofa Zanussiego pt. „Kontrakt" jest potwierdzeniem tych odczuć. Oglądany dziś, robi wrażenie, że powstał teraz, w tej chwili, na fali publicznych dyskusji i demaskacji zła, drażącego życie społeczne. Wiemy jednak, że powstał wcześniej, że zwłaszcza po takich filmach, jak „Barwy ochronne" czy nawet „Constans", miał być kolejnym głosem ostrzegawczym.

Jest „Kontrakt" w twórczości K. Zanussiego filmem osobliwym, jest bowiem pierwszą w jego dorobku komedią. Jak każdy rasowy moralista, musiał Zanussi wcześniej czy później do tej konwencji wypowiedzi dojść. I jak na moralistę przystało, nadał jej znaczenia ponad tę konwencję wyrastające.

Sądzę, że wielu kinomanom skojarzy się „Kontrakt" z filmem „Dzień weselny" Roberta Altmana i nie tylko dlatego, że z podobną sytuacją fabularną mamy tu do czynienia. Przy wszystkich różnicach stylu, przy innych społecznych punktach odniesienia wydaje się, że wszystkie filmy K. Zanussiego i R. Altmana pełnią podobne funkcje katarktyczne, choć Altman wydaje się okrutniejszym interpretatorem poddawanych analizie zjawisk. Okazuje się też, że ten rodzaj uprawianej przez obu twórców ekranowej moralistyki znajduje swój szeroki społeczny rezonans.

Jak zostało to tytułem filmu Altmana zasygnalizowane, akcja „Kontraktu" wpisana jest w dzień weselny, który skupia pod jednym dachem rodzinę, znajomych i przypadkowych gości. Ów dach wieńczy supekomfortową willę pany pana młodego. Ów papa jest pełniącym funkcję ordynatora lekarzem. Jednym z weselnych gości jest także ojciec panny młodej, którego profesji bliżej nie znamy, lecz jego sposób bycia wskazuje, że mamy do czynienia z prowincjonalnym wprawdzie, ale ani chybi dostojnikiem bądź partyjnej, bądź administracyjnej proweniencji.

Superwilla, supersamochody, postacie na stanowiskach damy w kreacjach nie schodzących niżej „Mody Polskiej", zagraniczni goście i stojący za tym wszystkim szmal, wielki szmal. Sytuacje, bohaterowie, rekwizyty, jak z kabaretu, który okazał się życiem samym, który jest ilustracją opisanych dziś publicznie faktów znanych i czekających na ujawnienie.

Jeszcze raz fikcja artystyczna, która wyrosła ze społecznego doświadczenia, może się stać dowodowym argumentem nie tyle w jednostkowym procesie, co w konstruowaniu wniosków wobec dalszego biegu społecznego życia.

W tym panopticum, powstałym wskutek zachwiania norm życiem tym kierującym, bezskutecznie szuka Zanussi wartości wyższego rzędu, a więc tych wyrastających ponad zewnętrzne li tylko przejawy moralnej degrengolady. Trafia jednak na pustynię, gdzie rządzi tylko pieniądz, układy, gry i pozory. Spontaniczne odruchy buntu ujawniane przez młodych są także jedyną efektowną manifestacją. Osiągnięta przez obecną żonę pana ordynatora świadomość rzeczywistości, w której uczestniczy, budzi pewne odruchy sympatii, lecz także nie usprawiedliwia. Nie ma w tej zabawie czystych, o smrodzie mówi się w „Kontrakcie" w sytuacji komicznej, lecz ma on sens dosłowny.

Ten bardzo gorzki film jest naprawdę bardzo dobrą komedią. Tworzą ją znakomite pomysły sytuacyjne, dobre tempo, dialogi i bohaterowie. Ci ostatni, jak zwykle u Zanussiego we wspaniałym rysunku i wykonaniu. Taki zespół aktorski zdoła skupić niewielu reżyserów, uczestnictwo w jego filmie przynosi widać zaszczyt.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

WSPINACZKA NA SZKLANĄ GÓRĘ

Prób przetworzenia „Procesu" Kafki w kształt widowiskowy było już wiele. Od Andre Gide a i Jean Louis Barraulta poczynając. Ta jedna z najznakomitszych powieści XX wieku niezmiennie kusi ambitnych i odważnych artystów do podjęcia zmagań z jej materią, choć Bogiem a prawdą żadnego z tych wysiłków nie można uznać za równoważny w stosunku do książki.

„Proces" jawi się jak baśniowa szklana góra, po której śliskich zboczach usiłują się wspiąć dzielni rycerze, żadnemu jednak nie udaje się dotrzeć do upragnionego szczytu. Jeden osiąga w tej wspinaczce wyższy poziom, inny niższy, by potem niezmiennie obsunąć się w dół.

Na czym polega trudność, a może nawet niewykonalność tego zamierzenia? Pozornie pisarstwo Franza Kafki jest niezwykle obrazowe, prosi się jakby o wpisanie wizualnej interpretacji w narracyjne niedookreślenia i luzy. W praktyce jednak, gdy podjąć próbę zilustrowania tekstu, okaże się że jakakolwiek byłaby ta ikonografia, z reguły nie będzie przylegać do tego rodzaju literatury, jaki reprezentuje „Proces".

Jeżeli wizja pisarza tworzyła ciągi obrazowe, będące podtekstem powieści, to z pewnością operowała obrazami nie zaczerpniętym bezpośrednio z otaczającej nas rzeczywistości. Rewelacyjność powieści Kafki i jej nowatorstwo w czasach, w których powstawała — a zaczął on pisać „Proces" w roku 1914, ponoć dosłownie w dniu wybuchu I wojny światowej — polegała na przefiltrowaniu realnych doświadczeń pisarza przez jego superprzeczulony system nerwowy, przez neurasteniczny świat duchowy opanowany logiką snu.

Czytelnika zapuszczającego się w gąszcz prozy Kafki czekają niespodzianki. Sytuacje, w jakich lokuje pisarz swego bohatera, wydają się zrazu dosłowne, zwyczajne, gdy jednak wczytujemy się głębiej, sprawy zaczynają przybierać zupełnie inny sens. Przekonujemy się, że daliśmy się zapędzić w pułapkę, a wszystko co uważaliśmy za mieszczące się w normie, nabiera innego wymiaru, obrasta w metaforę, deformuje się.

Dziwaczny fakt aresztowania Józefa K. na początku powieści, który jesteśmy skłonni wraz z nim uważać za nieporozumienie, czy niezbyt mądry żart, nieoczekiwanie nabiera grozy, osacza bohatera, zaciska wokół niego swe macki polipa. Stopniowo zaczynamy rozumieć, że niepełny konterfekt głównego bohatera to nie maniera autorska, ani nonszalancka. Podobnie ma się rzecz z początkowo śmieszną, jakby trochę niezgrabną a potem coraz bardziej niepokojącą galerią postaci, z którymi styka się Józef K. W tej szkicowości zawiera się świadomy zamiar pisarza.

Kafka po prostu nie chce przyoblec owych indywiduów w konkretne wyglądy, nadać jednoznacznego sensu ich działaniu. Jest to bowiem w założeniu struktura o wielkiej pojemności, a jednocześnie na tyle otwarta, by wpisać w nią można było w zasadzie wszystko. Józef K. to eksponent ogółu ludzi zagubionych, czujących się wyobcowanymi w okrutnym świecie współczesnym. A więc możesz się z nim utożsamiać ty, czytelniku, mogę ja, każdy.

Tajemniczy trybunał, przed którym odpowiadać ma za niewiadome winy Józef K., ma swe biura na strychu na przedmieściu, a w skład jego personelu wchodzą najróżnorodniejsi dziwni osobnicy, nawet nieznośne i niedyskretne dzieci oblegające pracownię malarską. Te pozornie absurdalne okoliczności tak długo nie mają dla nas sensu, póki usiłujemy mierzyć je naszym codziennym doświadczeniem.

Czy aktor, choćby najsprawniejszy, jest w stanie oddać blankietowość postaci Józefa K., czy potrafi powściągnąć na tyle swe specyficzne cechy i reakcje, by pokusić się o reprezentowanie każdego z nas? Przypuszczam, że to raczej niemożliwe, a już z pewnością daleki od spełnienia tej funkcji był Roman Wilhelmi w nowej telewizyjnej ekranizacji „Procesu" dokonanej przez Agnieszkę Holland i Laco Adamika (emisja: 17 listopada).

Józefa K. w interpretacji Wilhelmiego, mimo skupienia aktora i poczucia wagi tego zadania, cechowała jednostajna agresywność, co przyniosło w konsekwencji brak narastania grozy sytuacji. W małym stopniu udało się aktorowi wyakcentować bezradność, a potem bezsilność bohatera, w jego zmaganiach z intensyfikującym się zagrożeniem. Dlatego też trudno stwierdzić, by budził w nas uczucie utożsamiania się z nieszczęsnym prokurentem bankowym.

Niepowodzeniu znakomitego skądinąd aktora towarzyszyła pewna nieporadność realizatorów i reszty wykonawców w budowaniu kafkowskiego nastroju, w uplastycznieniu właściwego autorowi porażenia światem, w którym wypadło mu żyć. W ten sposób jeszcze jedna wspinaczka na szklaną górę zakończyła się obsunięciem w dół. A przecież nie mamy pretensji do reżyserów o ten czyn zuchwały.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

EX-LIBRIS ODGŁOSOW

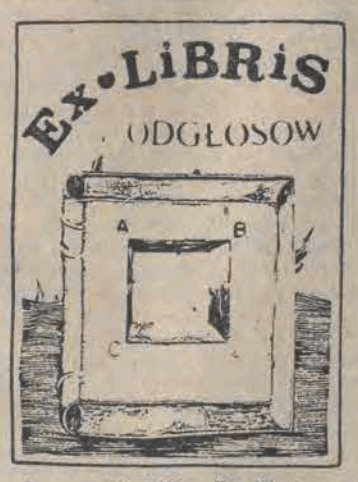

OSTATECZNOŚĆ

Coraz rzadziej na rynku księgarskim ukazują się zbiory opowiadań. Pomijając znane nazwiska mistrzów małej formy prozatorskiej, nie bardzo można wymienić pisarzy współczesnych zajmujących się tym gatunkiem. Jest to podobno jedna z trudniejszych dziedzin pisarstwa. Z tym większą więc przyjemnością prezentujemy czytelnikom niewielki zbiorek opowiadań Kazimierza Kordasa „Ostateczność". Kordas, autor kilku opowieści o tematyce wojennej „Człowiek spod Arnhem", „Zmaganie" i „Jeden z nas", kilku dla dzieci, a także autor słuchowisk radiowych, w tych opowiadaniach przedstawia nam się w zupełnie inny sposób. Większość opowiadań to pozbawione akcji rozszerzone refleksje pełne zadumy nad życiem, jego przemijaniem, związkami człowieka z rodziną, ziemią na której się urodził i wychował domem, który go ukształtował i obdarzył wiedzą o ojczyźnie, odpowiedzialności za własne czyny, słowo, nauczył rozróżniać dobro od zła. Przepięknie przedstawiona jest postać ojca w opowiadaniu „Dom", pełna ciepła a jednocześnie nie pozbawiona elementów rubaszności i fantazji. Każde z opowiadań pozornie błahe, poza pierwszym, jest jednak opisem istotnego momentu z życia autora. Tak więc kończąc tę króciutką charakterystykę polecam lekturę tych naprawdę urokliwych, pełnych zadumy, mądrości i refleksji opowiadań.

Kazimierz Kordas „Ostateczność", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980, str. 91, cena zł 10.—

DOJRZEWANIE...

Ryszarda Wojny nie trzeba przedstawiać czytelnikowi. Wieloletni dziennikarz i publicysta, korespondent PAP, uczestnik dyskusji i programów telewizyjnych, polityk i poseł na Sejm, autor znanej książki pt. „Rozmowy z ojcem". Próbuje w niej sobie i czytelnikowi odpowiedzieć na pytania dotyczące stopnia uświadomienia pewnych procesów historycznych, które ze względów dziejowych i narodowych doprowadziły do takich, a nie innych przemian w naszej świadomości. Najnowsza jego książka „Dojrzewanie..." to jakby próba dziennika prowadzonego w latach 1978—79. Dzisiaj w okresie wielkich przemian, dyskusji i rozliczeń z minionym okresem ten zapis czasu bezpośrednio poprzedzającego sierpień, prowadzony przez posła tkwiącego najczęściej w samym centrum wydarzeń, mającego pełną świadomość i możliwość właściwej oceny tego co się dzieje jest szczególnie cenny. Znamienny jest już sam tytuł. „Dojrzewanie..." sugerować może zarówno powolne dochodzenie do z góry określonego i założonego punktu, jak i powolne, a nieubłagane narastanie sprzeczności, konfliktów, które nieuchronnie zbliżają się do dojrzenia, a więc do wybuchu.

Wojna bacznie obserwuje z zawodowej, ale nie tylko, konieczności życie społeczne, posiada także większą niż przeciętny obywatel orientację w nim, spotyka się z ludźmi jako poseł, podróżuje. Zdaje sobie sprawę z konieczności pewnych zmian w polityce społecznej i gospodarczej, a przede wszystkim z nieodzownego dialogu partii ze społeczeństwem. To, że ta książka ukazała się właśnie teraz jest chyba sprawą przypadku. Złożona w wydawnictwie była wcześniej, mogła ukazać się pół roku temu, za pół roku byłaby już nieaktualna. Wiele poruszanych w niej problemów w tej chwili wydaje się być oczywistymi, ale pisane dwa, czy półtora roku wcześniej mogłyby być sygnałami ostrzegawczymi, gdyby podnoszone były wszędzie tam, gdzie poseł i polityk mógł je prezentować, a nie być tylko rozmową z samym sobą na kartkach papieru.

Ryszard Wojna „Dojrzewanie...", Książka i Wiedza, W-wa 1980, str. 226, cena zł 30.—

OPOWIEŚCI Z NIŻSZYCH SFER

Przyjemnie jest mieć barwne i bogate życie, w którym wiele się widziało, wiele przeżyło i nauczyło. Można na starość, siedząc przy kaloryferze opowiadać o nim wnukom, koloryzując rzecz jasna bardzo. Wszyscy będą zadowoleni, dziadek bo się wygadał przed wdzięcznymi słuchaczami i wnuki, bo zamiast bajki o żelaznym wilku zafundowano im na dobranoc opowieść o mocnym, prawym i niestrudzonym człowieku. I wszystko byłoby dobrze gdyby to była opowieść domowa. Opowieściami dokładnymi o swoich czynach chwala się albo bardzo młodzi chłopcy chcący zdobyć sobie autorytet u rówieśników, albo starzy ludzie próbujący go odbudować u młodszych. Dziwne jest to natomiast u mężczyzny przed czterdziestką, który może jeszcze wiele zrobić ze swoim życiem, wiele przeżyć i to być może spraw ważniejszych i lepszych niż te opisane.

Książka Andrzeja Kulikowskiego „Opowieści z niższych sfer" jest zapisem jego krótkiego, a tak bogatego życia. Opisuje w niej siebie od lat niemal chłopięcych, aż po pełną dojrzałość. Jest w niej tyle przygód, przeżyć, opisów różnorodnych sytuacji, że ciekawość co jeszcze autor robił w życiu jest tak silna, że czyta się ją jednym tchem do końca. Każdy może w niej znaleźć coś dla siebie: dla młodych chłopców romantyzm ujarzmiacza dzikich jeszcze wówczas Bieszczad, dla moralizujących pań chęć do nauki, dla mężczyzn obraz silnego i nieugiętego pożeracza serc niewieścich, dla sentymentalnych historia o nieudanym małżeństwie. Wszystko to jest dobre. Tylko, że jest to debiut książkowy autora; wykorzystał w nim wszystko, co miał do pokazania, nie zastanawiając się, nie próbując selekcjonować, oceniać i aż ze strachem myślę, co będzie autor opisywał w swoich następnych książkach, kiedy z racji wieku i stabilizacji życie stanie się mniej barwne i przygód nie starczy, a poza nimi nic nie widać.

Andrzej Kulikowski „Opowieści z niższych sfer", Iskry, W-wa 1980, str. 464, cena zł 55.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Minął co prawda październik, a także rocznica jest niepełna od tamtego Października 1956. Mimo to chciałbym na chwilę wrócić refleksją do owych tygodni. Młode pokolenie nie pamięta tamtego Października. Dla mnie to była młodość — najpierw gwałtowny wstrząs po scholastyce ZMP, potem głęboki oddech i nadzieja.

Dziś patrzę na tamte sprawy z perspektywy ćwierćwiecza. Patrzę przez pryzmat wspomnień, patrzę poprzez dokumenty, zapisy... Oto plac Defilad, na trybunie obok Władysława Gomułki, młody szczupły człowiek o nerwowej, ascetycznej twarzy.

Lech Goździk — przywódca robotników Żerania, który w krótkim czasie stał się idolem — choć słowo to jeszcze nie było w użyciu — owych tygodni. Lech Goździk jedna z największych sław Października.

W dziewiątym numerze „Nowego Nurtu" wydawanego na powielaczu pisma, będącego organem Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji czytam krótki tekst „Z wizytą u Goździka":

„Tym, którzy nie widzieli Goździka na trybunie Politechniki Warszawskiej, lub nie zetknęli się z nim w owym czasie — kilka słów informacji" — pisze autor artykułu. „Goździk jest dość wysoki, szczupły, młody. Mówi powoli, głosem jakby trochę zmęczonym. Nie dziwota — co chwila wiece, zebrania, wywiady. Czy jest bezpośredni? Tak, bez patosu, bez sloganów, mówi krótko i zwięźle".

Przez pierwsze tygodnie Października Lech Goździk był pierwszoplanową — obok Gomułki — postacią. Czasopisma tamtych lat pełne są jego fotografii, wywiadów z nim, refleksji o tym, jak to on — zwykły monter — stał się autentycznym przywódcą robotników Warszawy i symbolem robotników całej Polski.

Goździk niedługo wytrzymał owo ciśnienie psychiczne. Dość szybko zniknął z horyzontu i zapadł się w niepamięć. Tak dokładnie, że dziś młodzi, buńczuczni nie potrafią wyciągnąć wniosków z jego smutnej i dramatycznej historii.

Jerzy Putrament pisze powieść o Lechu Goździku. Może ta książka — jakże na czasie — przypomni tę postać szczerą, autentyczną, a przecież naznaczoną jakimś posępnym tragizmem.

Putrament wspomina zresztą Goździka w swoim „Poślizgu". Pisze: „Niezwykle ciekawy człowiek, o losach bardzo typowych. Był, co się zowie samorodkiem. Goździk był prosto od maszyny, ale miał

PRZYPOMNIENIA SPRZED ĆWIERĆWIECZA

wrodzone zalety. Nie tylko był doskonałym mówcą, ale miał coś w charakterze, co go predestynowało na przywódcę. To nie była ambicja. To było coś wrodzonego, nie udawanego.

Losy jego też były typowe. W Październiku fala go wyniosła bardzo wysoko, rzekłbym, za bardzo. Uczepiły się go różne straszaki: „lewicowcy" z „Po prostu" i podobnych organów. Niebawem zaś stało się tak, że hurralewicowy frazes przestał pomagać. Wtedy menerzy — pisze Putrament (dziś byśmy powiedzieli menagerowie) — zamiast pchać się do przodu zaczęli dawać zorganizowany poklask właśnie takim jak Goździk. Dlatego też menerzy uchowali się po kątach, a lansowani przez nich płacili rachunki za potłuczone hasła i polityczne awantury.

Z Goździkiem było bardziej tragicznie. Nagły podrzut do góry i natychmiastowe plaśnięcie o ziemię nie pozostało bez wpływu na jego charakter, a nawet zachowanie. Dalsze losy to już bezustanny upadek. Nie warto nawet notować jego kolejnych etapów" — kończy Putrament.

A jednak coś się takiego stało, że pisarz uznał iż warto zanotować — i to w powieści, nie pamiętniku — losy wyniesionego gwałtownie do góry Lecha Goździka. Czym będzie ta powieść? Sagą historyczną — wydarzeń sprzed ćwierćwiecza czy opowieścią o uwikłaniu w gry polityczne i konsekwencje tego uwikłania? Nie wiadomo. Pewno jednym i drugim zarazem.

Na dalszych stronicach „Poślizgu" Putrament raz jeszcze wraca do postaci Goździka. „W połowie marca zebranie na Żeraniu. Właśnie teraz zakończyła się kariera Goździka, który od dłuższego czasu toczył się w dół. Wypychany naprzód przez spryciarzy, przeszedł klasyczną drogę zbyt szybkiego wznoszenia się. Kiedy stał się kimś, nikt się nim nie zajął, nie przestrzegł przed chorobą wysokościową, nie leczył".

Czemu o tym piszę? Po prostu, przypomniał mi się ten szczupły, nerwowy człowiek, który swoją pasję i szczerość okupił osobistą tragedią. W gry polityczne bowiem nie można wchodzić bezkarnie — co więcej, bez świadomości, że jest to zawsze rozgrywka i choćby najuczciwsza, ale rozgrywka.

Goździkowi długo brzmiały w uszach huragany braw, długo zapewne pamiętał te chwile, gdy rozentuzjazmowany tłum nosił go na rękach. Ja też to pamiętam, bo są to czasy mojej młodości, które były również okresem fascynacji Lechem Goździkiem.

A przypominam go dlatego, że po prostu wart jest przypomnienia i dobrze, że ktoś napisze o nim książkę. Przynajmniej w ten sposób zostanie w świadomości, gdy ze szczętem zniknął z pamięci młodego pokolenia.

WIDOK

TELEWIZJA

Mam na myśli ogień oczyszczenia, który płonie w naszym kraju od przeszło trzech miesięcy. Każdy kolejny tydzień przynosi wiązkę faktów, które podsycają ów ogień tak, iż strzela on wciąż żywym płomieniem i ogarnia coraz to nowe obszary.

„ITD" z 23 listopada zamieszcza wywiad z elektronikiem profesorem Arkadiuszem B. Góralem, który objaśnia hochsztaplerskie działania niektórych środowisk naukowych objęte w formułę Profit Acquiring by Scientific Efforts Resembling Activity co w rzekładzie oznacza Osiąganie Korzyści Przez Pozorowanie Działalności Naukowej. Wywiad poddaje w wątpliwość osiągnięcia z zakresu syntezy termojądrowej Sylwestra Kaliskiego, a także podważa kompetencje Komitetu Nagród Państwowych. W tymże samym numerze „ITD" „Paszkwil na docenta" też pouczający. W „Kulisach" (nr 47) dość jednoznaczna ocena katowickiego Ośrodka Postępu Technicznego. Krąży w odpisach wypowiedź profesora Janusza Groszkowskiego.

Fakty te nie pozwalają na żadne uogólnienia, a ja nie przedstawiam tu przecież ekspertyzy na temat stanu nauki w Polsce. Taka, zdaje się, już istnieje. Inspiracją do podjęcia tego tematu była „Polska Kronika Filmowa", nadana we wtorkowym programie (18.XI) TvP. Aby czegoś nie pokręcić, nie będę się wdawał w szczegóły. Reportaż „PKF", z komentarzem Stefana Bratkowskiego, opowiada o porażających losach jednego z najwybitniejszych w skali światowej twórców matematycznych maszyn elektronicznych, Jacka Karpińskiego, którego wyeliminowano przy pomocy mechanizmów, o jakich mówił w wywiadzie profesor Góral. Jacek Karpiński, ukończywszy kurs przysposabiający, zajmuje się obecnie gospodarstwem rolnym! „To bardziej optymistyczne — mówił — mieć do czynienia z prawdziwymi świniami".

PRZEJŚCIE PRZEZ OGIEŃ

Okazuje się, że nie zawsze. Otóż leitmotywem ostatniego tygodnia w TvP była tzw. „świńska sprawa", którą czujnie zainicjowali łódzcy dziennikarze (patrz tekst Konrada Frejdlicha w poprzednich „Odgłosach" a w numerze bieżącym artykuł Ryszarda Binkowskiego). Najpierw reportaż w Dzienniku, potem audycja „Na chłopski rozum", wreszcie posiedzenie Sejmu. Wbrew finansowym racjom ministra, że rachunek ekonomiczny, że konieczny skup interwencyjny, że braki paszowe, że tanie emocje, informacja Dziennika sprawiła, że „świńska sprawa" przybrała obrót całkiem pozytywny. Wynika z finału tej sprawy i taki jeszcze wniosek: bądźmy nieufni wobec administracyjnych argumentów.

A wracając jeszcze do Jacka Karpińskiego, może redaktorzy „Sondy" zechcieliby zejść z wyżyn science-fiction i zająć się w jednej z najbliższych audycji przeszłością i — co ważniejsze — przyszłością wybitnego inżyniera. „PKF" zrobiła już wyłom, może zatem łatwiej będzie zobaczyć, co za tym murem absurdu się kryje.

W „Filmotece Arcydzieł" telewizja prezentowała film Luisa Bunuela „Piękność dnia". Redaktor Wyszomirski (w „Antenie") chcąc zainteresować telewidzów arcydziełem, snuł przypuszczenia, co też może zawierać tajemnicza skrzyneczka w rękach perwersyjnego Chińczyka czy Japończyka. Myślę, że był to jednak Japończyk, a zatem przedstawiciel nacji, która rozwinęła przemysł elektroniczny aż do perwersji właśnie. Nie ten film przecież był wydarzeniem w telewizyjnym kinie ostatniego tygodnia. W innym cyklu, nazwanym mniej efektownie, „Robotnicze sprawy" tv przedstawiła „Perłę w koronie" Kazimierza Kutza (19.XI). Oglądałem przed laty tę drugą część trylogii śląskiej tak jak ogląda się na przykład „Bitwę pod Grunwaldem", a więc dzieło bezsprzecznie wybitne, ale którego temat jest odległą historią. W listopadzie 1980 roku film Kutza uzyskał kontekst taki, iż ogląda się go ze ściśniętym gardłem. Hubert Siersza stał się bohaterem dnia dzisiejszego, jest, istnieje, mówi w naszym imieniu.

Nie pierwszy to, a i nie ostatni przykład wywracania hierarchii artystycznych, jakie u nas obowiązywały. Za kilka miesięcy TvP powtórzy „Perłę w koronie" w „Filmotece Narodowej". Jeśli już o tej sprawie mowa, chciałbym zgłosić kolejny postulat — do Aleksandra Małachowskiego — o spotkanie z Jerzym Krzysztoniem. Jego „Obłęd", jakoś tam w tv odfajkowany, domaga się wnikliwej oceny. Teraz można to powiedzieć, że powieść Krzysztonia jest książką o rozkładzie świadomości społecznej lat siedemdziesiątych, że jest bodaj najważniejszą diagnozą społeczną całej naszej powojennej literatury.

Ważnym osiągnięciem TvP ostatniego tygodnia jest z całą pewnością spektakl teatru poniedziałkowego według „Procesu" Franza Kafki, przygotowany przez Agnieszkę Holland i Laco Adamika. I to dzieło (na uwagę zasługuje maestria warsztatu realizacyjnego całego zespołu twórców), choć w sposób wysoce symboliczny, aktualizuje się w działaniach czasu teraźniejszego.

GRZEGORZ GAZDA

PROPOZYCJE

Ponoć nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Wielokrotnie byłem już w sytuacji, gdy trzeba było rezygnować z czegoś pięknego, ale drobnego w porównaniu z całością, która była zagrożona. A przecież są ludzie, którzy potrafią się zajmować różami i tylko różami, bo to dla nich cały świat, nie widząc, że w koło płoną lasy. Od dłuższego już czasu obserwuję pewnego pana, który z balkonu w bloku gromi chłopców bawiących się na trawniku w wojsko, albo może w złodziei i policjantów, albo ja wiem w co, w kowbojów może. Czołgają się oni po trawie, chowają za krzakami, strzelają do siebie, trupów jakoś nie widać, choć kule latają stadami. Pan ów wychyla się wtedy z balkonu i przepędza chłopców, wołając, aby nie deptali trawy. Gdzie więc mają się bawić, na betonie, asfalcie, czy placyku wysypanym żwirem? Do dziś pamiętam zapach rozgrzanej słońcem ziemi, kiedy leżąc za krzakiem z patykiem udającym karabin czatowałem na wroga. Czy nasze dzieci mają być tego pozbawione?

Zawsze uważałem i uważam tak nadal, że zieleń jest dla nas, że jest nam potrzebna, że musimy z nią współżyć. Jesteśmy od siebie zależni, choć wiem, że nie było nas, a był las. Ale też wraz z naszym współczesnym pojawieniem się możemy zostać bez lasu, a przynajmniej po nas nie zostanie las. Rzecz jest znacznie poważniejsza. W 45 numerze „Przeglądu Technicznego" z 9 listopada 1980 roku przedstawiciele Polskiego Klubu Ekologicznego poddali krytyce działalność Ligi Ochrony Przyrody, „która spełniała swoją funkcję na określonym etapie, ale dziś niestety nie sprawdza się w swym działaniu". I to jest prawda. Niejedna zresztą Liga Ochrony Przyrody pozostała w tyle za życiem.

Dziś bowiem nie wystarczy już tylko wołać o ochronę przyrody, wbijać w trawniki paliki z tabliczką: „Szanuj zieleń". Nie wystarczy nawoływać do niełamania gałęzi. Oburzać się, gdy jakiś wandal wbije gwóźdź w drzewo, gdy budowlani powycinają drzewa, bo tak im wygodniej. Dziś problem ochrony przyrody, jeśli już zostaniemy przy takiej terminologii, trzeba widzieć kompleksowo. Nie tylko róże, nie tylko trawniki, nie tylko drzewa, ale i róże, i trawniki, i drzewa, i lasy, i wody, i atmosferę, i przemysł, i potrzeby społeczne, i złoża naturalne, i szkody wyrządzane przez rozwój cywilizacyjny, przez eksploatację naszych bogactw naturalnych. To ogromny problem. Skomplikowany, trudny, ale niezbędny do podjęcia i szukania rozwiązań.

„Przegląd Techniczny" jest pismem ciekawym, ale praktycznie niedostępnym na rynku. Dlatego pozwolę sobie powtórzyć niektóre tezy wywiadu z tego pisma z przedstawicielami Polskiego Klubu Ekologicznego. Po pierwsze — ruch na rzecz ochrony naszego środowiska musi mieć charakter społeczny, obejmujący różne grupy społeczeństwa, ale jest to ruch również o charakterze politycznym. W tym znaczeniu, że „prawo do wysokiej jakości środowiska zawarte jest w naszej Konstytucji, w ustawach sejmowych", a więc musi to być ruch na rzecz przestrzegania ustaw, tylko wyjść na dobre. Podobnie, jak i w innych dziedzinach.

RÓŻE I LASY

Dziś, aby chronić przyrodę, której integralną częścią przecież jesteśmy, nie wystarcza już krzyczeć na niegrzecznych chłopców, którzy czołgają się po trawie udając żołnierzy, nie wystarczy ganić młodzież łamiącą krzewy i drzewa, ale trzeba umieć dostrzec niebezpieczeństwo grożące nam zewsząd i przez nas podsycane. Do tego nie wystarczy już miłość do przyrody, ale potrzeba naukowych badań, które miłość tę umacniałyby i intelektualnie uzbrajały.

Na zakończenie kilka danych z „Rocznika Statystycznego 1980". W 1979 roku wyemitowano w województwie łódzkim miejskim 29 tys. ton pyłów, 57 tys ton gazów. Nie jest to dużo w porównaniu z Krakowem, czy Śląskiem, ale osiedla wokół „Anilany" są narażone na szkodliwe działanie gazów i mimo że produkcja dająca ubocznie takie działanie miała być już dawno zlikwidowana, jak się ostatnio dowiedziałem, ŁZWS „Anilana" otrzymały zadania dla tej produkcji na rok przyszły. Nadal będzie się więc emitować w powietrze szkodliwe gazy. I ten przykład pokazuje, jak ważne znaczenie ma ruch w obronie naszego środowiska i że nie jest to tylko ruch miłośników róż, ale również lasów.

MARCIN RODAK

SYTUACJE

Mimo podeszłego wieku, dobrze pamiętał wszystkie wytyczne, wskazówki, reguły. Wszystko to, starannie posegregowane według dat, ekip i stylów, wypełniało szczelnie jego korektorską pamięć. Pamiętał czas, kiedy należało dopilnowywać, aby „słonko" było przez duże „S" i pamiętał, pochodzącą z tego samego okresu, pierwszą listę tych, których pisanie, ze względu na nie przystającą do założonej stylistykę, a priori przeznaczone było na przemiał. Taka lista szalenie ułatwiała, początkującemu wówczas korektorowi orientację w gąszczu ortograficzno-ortodoksyjnych ustaleń i zaleceń.

Potem nagle wszystko runęło. Słonko wróciło na niebo, zaroiło się od znanych dobrze korektorowi nazwisk debiutantów i nadszedł dla korekty ciężki okres rozliczeń ze starą ortografią, uznaną za błędną i wypaczoną.

Powoli, powoli wszystko jednak wracało do ustalonych wcześniej norm. Co prawda zdarzały się rozmaite odchylenia i niekonsekwencje, funkcjonujące na zasadzie wyjątku, ale były to zagadnienia zupełnie marginesowe. Jak pokazała historia, wszystko zmierzało w kierunku ujednolicenia i skrystalizowania jednościowego modelu ortografii i stylistyki narodowej. W połowie lat siedemdziesiątych zaczął do naszego języka wkradać się nowy akcent. W miejsce dotychczas stosowanego przycisku na drugiej sylabie od końca (nieliczne wyjątki!) zaczęto stosować, w telewizji, radiu i oficjalnych wystąpieniach akcent inicjalny (na pierwszą sylabę), wywodzący się z gwary śląskiej. To ustalenie się akcentu „na pierwszą" pociągnęło za sobą dalsze konsekwencje. Rozpoczęto badania nad takim zreformowaniem języka, aby jego jednoznaczność wiązała się z jednomyślnością go używających. W tym celu organizowano każdego wieczora (godz. 19.30) wykłady z obowiązującej stylistyki. Jednocześnie zupełnie zapomniano, że obok wykładów istnieją takie formy, jak konwersatoria i konsultacje.

STARY KOREKTOR

Praca w korekcie nie wymagała w tym okresie zbyt wielkiego wysiłku czy umiejętności. Przyłożony wzorzec natychmiast ujawniał wszelkie błędy, przekłamania i całe teksty stylistycznie błędne. Wystarczało więc tekst podczyścić, wiersze poprzestawiać, sens korektorsko podretuszować i przystawić pieczątkę. Dodatkowym dla korektora ułatwieniem był proces ujednolicania tekstów. Wystarczyło więc tylko przejrzeć tytuły, aby upewnić się, że treści, szlifowane od lat, nie wymagają żadnej dodatkowej korekty.

Aż pewnej sierpniowej nocy stary korektor trafił na tekst, który wprawił go w osłupienie. Przetarł okulary, spojrzał raz jeszcze i przeczytał, że czytelnicy mają już dość sztywnych, odświętnych reguł pisowni i wyświechtanych, okazjonalnych ozdobników, że chcą, aby powszechnie używano takiego języka, jakim się sami posługują na co dzień w kolejce, w tramwaju, w domu — BEZ KOREKTY.

Stary długo nie mógł zasnąć tej nocy. Nad ranem przypomniało mu się, że jest w posiadaniu niezwykle cennej korektorsko pozycji. Spod siennika wyciągnął wymięty egzemplarz futurystycznego arcydziełka „Nuż w bżuhu". Wyjął z kieszeni piżamy czerwony ołówek i zaczął słowo po słowie poprawiać. „Przeczekam" — pomyślał.

Zaczynało świtać. Stary korektor usiadł na łóżku. Podniósł z podłogi „Nuż w bżuhu", nad którym wczoraj zasnął. Między kartkami, upstrzonymi korektorskimi znakami, odnalazł ołówek, a książkę z powrotem wcisnął pod siennik.

Idąc w stronę kuchni, przekręcił gałkę odbiornika radiowego. Nalał do czajnika wody i postawił na kuchni. Z głośnika popłynęła muzyczka a spiker, podając godzinę, zapowiedział, że w tym tygodniu audycja literacka w całości poświęcona będzie twórcy z pewnych względów znanemu jedynie dotąd nielicznym miłośnikom poezji. „Już się zaczyna" — pomyślał stary. „Do tej pory wystarczał Asnyk, Broniewski i Wilmański, a teraz uparli się i będą wałkować tego Białoszewskiego bez końca".

Korektor, jak i jego koledzy, nie lubił, kiedy podsuwano mu do kontroli wiersze tego, wiecznie niezadowolonego z obowiązujących reguł ortograficzno-stylistycznych, niesfornego literata. Nieraz zresztą „przejechał się" na tego typu twórczości. Kiedy po drobiazgowej kontroli wydawało się, że wszystko jest w porządku, po wydrukowaniu okazywało się, że tekst odbiega jednak od obowiązującego maszynopisu. Później, tego typu nieliczne przeoczenia korektorskie funkcjonowały na rynku księgarskim, jako „białe kruki", będąc dla bibliofilów tym, czym znaczek z błędem dla filatelisty.

Zdecydowana niechęć korekty do kontrolowania tekstów wyłamujących się z obowiązującej stylistyki prowadziła do sytuacji, w której zainteresowanym zadawano dyskretne pytanie: „Czy koniecznie musicie publikować wiersze tego autora?" Zawstydzone wydawnictwo odpowiadało skromnie: „Nie musimy" — w pełni zadowalając tą odpowiedzią jedną ze stron. Większość redaktorów, znając korektorskie upodobania, już na etapie wstępnej selekcji rugowała, często na wyrost, z tekstów elementy abstrakcyjne, ortograficzne, dwuznaczne, fragmenty wprowadzające językowe nowotwory (złośliwe) i natrętne barbaryzmy. Zdarzały się jednak wydawnictwa, zwłaszcza nowe, które uparcie dążyły do przeforsowania swoich pupili, zatruwając oficjalne życie literackie utworami, w których stosowano niedozwolone chwyty stylistyczne, wprowadzano, szokujące dla czytelników codziennej prasy, porównania i metafory. Śledząc, z wypiekami na twarzy, pisownię tych nowo-tworów uważny czytelnik mógł nawet powziąć podejrzenie, iż tekst ukazał się poza zasięgiem korekty.

Rozmarzony wspomnieniami stary korektor nie zauważał, że postawiony na ogniu czajnik pyka i prycha, domagając się wyłączenia gazu. „Jak oni sobie to teraz wyobrażają" — myślał. — „Czy to ma znaczyć, że nie będzie się już uporczywie poprawiać „wicie" na „wiecie" i „rozumicie" na „rozumiecie". Czy to znaczy, że hrabia i cham będzie się pisało przez jednakowe „ha". A jeżeli już — to przez jakie?"

MAREK JERZY

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. w Warszawie nr 1153 201045 139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2634. G-2.